Dziś w numerze: Sienkiewicz w Czechosłowacji • Zagraniczne łodzian wojaże • „Mocne uderzenie" • Pustelnik i czarownica • Kariera jednej gwiazdy • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosy

Nr 47 (409)
27. XI. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII

ANDRZEJ WACH

KONRAD FREJDLICH

O czym marzy prezes?

ŚWIĘTY FLORIAN I NIECO PÓŹNIEJ

To miasteczko umie się od razu pokazywać z najładniejszej strony. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, ani nawet pospolitej zmowy miejscowego Prezydium z dyrekcją PKS. Ale autobusy zatrzymują się na prostokątnym rynku, gdzie deszcze nie zdążyły zmyć z domów widomych śladów wiwatowanego nie tak dawno a hucznie, jubileuszu miasta Praszki.

Tynki, odnowione starannie na siedemsetlecie nie pokryły się jeszcze patyną brudnych zacieków a na zbudowanym w czynie społecznym skwerze nie zdeptano kwiatów, które teraz, w lekko przyćmionym słońcu listopadowym, dostojnie warzy jesień.

Rynkowi patronuje święty Florian stojący na swoim cokole w nieco niewygodnej pozie od roku pańskiego 1860. Seryjny pomnik, jakich niegdyś pełno było po miastach Królestwa Polskiego. Jak tego wymaga legenda, święty ma na sobie rycerska zbroję, w ręku zaś dzierży chorągiew i wiadro z wodą do gaszenia pożarów — wszystko kamienne. Nieopodal, pod daszkiem krytym gontami, skrzypi studnia, z której leje się cenny płyn o chemicznym składzie zbliżonym do H_2O. Płynu tego do gaszenia prawdziwych pożarów wycieka za mało. Do picia także się nie nadaje, bo za dużo w nim z kolei żelazopodobnych składników, myliłby się jednak, kto by sądził, że pompa miejska spełnia na rynku tylko funkcje ozdobne.

Straż pożarna, która tradycyjnie mecenasowała poczynaniom kulturalnym na prowincji i natychmiast po wyzwoleniu zabrała się do odbudowy zniszczonego przez Niemców pomnika, zapomniała o umieszczeniu na cokole napisu, kogo też przedstawia historyczne dzieło. Dla młodych, którzy

Dalszy ciąg na str. 4

RYSZARD STEFAŃCZYK

Jak to było z budową TEATRU WIELKIEGO w Łodzi

O tym, że budowa Teatru Wielkiego w Łodzi, zwanego do niedawna Narodowym ma swoją długą historię nikogo nie trzeba przekonywać. Ale kwestią dyskusyjną są ramy czasowe tej historii.

Wielostopniowy początek, jak i rozkładający się na trzy etapy okres zakończenia budowy, jest przyczyną różnorodnych zdań na ten temat. Powszechnie utrzymuje się pogląd, że dwie daty zapoczątkowały budowę Teatru: pierwsza to przełom 1945 — 1946 roku, kiedy to zrodziła się idea wzniesienia nowego gmachu teatralnego i druga — rok 1949, kiedy zostały założone na placu Dąbrowskiego fundamenty pod nowy budynek.

Można by się z tym pogodzić gdyby nie pamięć łodzian starszej generacji wspominających próby wybudowania nowego obiektu teatralnego w okresie międzywojennym. Interesująco pisze o tych poczynaniach wiceprezydent m. Łodzi Antoni Pączek w broszurze pt. „Polska rzeczywistość teatralna i łódzka", wydanej w 1938 roku:

„A już przed laty podjął był samorząd budowę gmachu teatralnego. Wydatkowano dziesiątki tysięcy złotych! W wyniku tych prac były plany architektoniczne, zwieziono już nawet cegłę na plac budowy i zaladowano wapno, a było pono i trochę pieniędzy. Obecnie nie ma cegły, ani wapna, ani pieniędzy, ani nawet placu, bo i ten ma obecnie inne przeznaczenie, a plany leżą w archiwum".

Taki był los daremnych wówczas usiłowań, ale wydaje się, że datę narodzin idei zbudowania teatru chyba będzie trzeba przesunąć o lat kilkanaście.

Pomocą w poszukiwaniu ściślejszej odpowiedzi odnośnie ram czasowych budowy teatru jest prasa łódzka. Obfity materiał informacyjny, a także żywy obraz budowy tego obiektu znajdujemy w starych rocznikach gazet. Ale zdarzają się i takie wieści: „A więc łodzianie cieszcie się! Za kilka lat będziecie mieli teatr, o którym dawno marzyliście!" — pisał „Express Ilustrowany" we wrześniu 1949 roku. Dzisiaj, po wielu latach zaskakująco brzmi ta wiadomość.

Szokujących informacji nie trzeba szukać w odległej przeszłości. Dostarcza ich również i teraźniejszość. W lipcu 1966 r. Juliusz Garztecki pisał w „Odgłosach": „No, bo jakże to — siedemnaście lat budowy, termin za terminem niedotrzymywany, budynek stał w stanie surowym nie ruszany, w środku rybki można było w wykopie łowić". — Wobec tego powiada autor „dawać winnych". Ale Garztecki nie tylko, że nie wskazuje winnych, lecz także nie odsłania rzeczywistych przyczyn, które zaważyły w sposób zasadniczy

Dalszy ciąg na str. 3

ŚWIATA

Aktywność polskiej polityki zagranicznej, wyrażająca się w propozycjach kroków częściowych znanych pod nazwą planów Rapackiego i Gomułki, składanych często w Warszawie wizytach dyplomatycznych oraz naszych odwiedzinach krajów zachodnich, ostatnio ujawniła się w TRZECH NOWYCH INICJATYWACH. W Komisji Politycznej ONZ przedstawiliśmy projekt rezolucji w sprawie raportu sekretarza generalnego o skutkach działania broni jądrowej, na posiedzeniach plenarnych sesji natomiast: wspólnie z Czechosłowacją projekt deklaracji o bezwzględnym zakazie stosowania przemocy i groźby jej użycia w stosunkach międzynarodowych, a wspólnie z Ukraińską SRR — projekt rezolucji, nawołującej do zaniechania lotów wojskowych samolotów z bronią nuklearną na pokładzie.

Pierwszy i trzeci projekt dotyczy więc kapitalnego w naszych czasach zagadnienia broni nuklearnej, drugi — prowadzi do kategorycznego wyrzeczenia się interwencji w sprawy wewnętrzne innych krajów i to w jakiejkolwiek postaci.

Podczas gdy pierwszy poparty został już przez ponad dwudziestu członków ONZ, w tym przez część krajów NATO, drugi i trzeci gwałtownie atakowany jest przez delegację amerykańską. Mimo to wielu obserwatorów rokuje im powodzenie.

Na czym polega znaczenie polskiej inicjatywy, aby sekretarz generalny ONZ opracował i przedłożył raport o skutkach działania broni jądrowej? Wbrew pozorom — znajomość zagadnienia nie jest w świecie duża. Są nawet tacy, którzy pomniejszają znaczenie tej broni.

Niektóre pisma amerykańskie zainicjowały kampanię przeciwko wyolbrzymianiu jej skutków. Psychologiczne cele tego staną się jasne, jeśli przypomnimy, że niektórzy amerykańscy politycy, a w tej liczbie i były prezydent Eisenhower, nie wykluczyliby nawet użycia broni nuklearnej w Wietnamie.

Próby pomniejszania nuklearnego niebezpieczeństwa nie sprzyjają oczywiście jego zwalczaniu. Dlatego też polską inicjatywę trzeba traktować jako element walki z proliferacją. Zwięźle przygotowany raport o wielostronnych następstwach użycia tej broni, opracowany pod egidą sekretarza generalnego przez grupę ekspertów, będzie miał z pewnością duże znaczenie w jednoczeniu wysiłków narodów na rzecz zapobieżenia tej groźbie.

Krokiem w kierunku jej usunięcia jest także przyjęta 17 bm. przez Zgromadzenie Ogólne NZ rezolucja, nawołująca do jak najszybszego zawarcia układu o zakazie rozpowszechniania broni nuklearnej. Rezolucja poparta została głosami 97 członków ONZ. Potwierdza to wagę problemu, a jednocześnie świadczy o dobrym klimacie dla sfinalizowania sprawy.

A teraz przejdźmy do odnotowania kilku bieżących wydarzeń.

Z zaciekawieniem obserwatorzy śledzą nieoficjalną WIZYTĘ w MOSKWIE brytyjskiego ministra spraw zagranicznych — Browna. Fakt, że doszło do niej na krótko przed oficjalną podróżą, zapowiedzianą na początek przyszłego roku, powoduje falę domysłów co do tematyki rozmów.

Jedni łączą to z wizytą premiera Kosygina w Londynie, która, jak wiadomo z ogłoszonego komunikatu, nastąpi za trzy miesiące, inni — z problemem wietnamskim oraz kontrolą nad bronią jądrową.

Niektórzy komentatorzy domniemywają, że Brown ma w zanadrzu jakieś nowe propozycje, które mogłyby zainteresować Związek Radziecki.

Z zaciekawieniem także obserwuje się WYDARZENIA W NRF. W chwili gdy piszę komentarz w dalszym ciągu trwają rozmowy koalicyjne, które dotychczas nie zarysowały jednak perspektyw rozwiązań kryzysu.

Tymczasem osoba desygnowanego na kanclerza przez CDU/CSU — Kiesingera wywołuje na świecie duży niepokój. Członek Izby Reprezentantów USA — Ryan zwrócił się nawet do Ruska, aby Stany Zjednoczone interweniowały w sprawie tego wyboru. Dzienniki belgijskie i holenderskie ujawniają hitlerowską przeszłość Kiesingera, a „Combat" przypomina wywiad Strassera, który daleko przed decyzją frakcji parlamentarnej CDU/CSU przepowiadał, że „Kiesinger mógłby być Hitlerem nr 2".

Pytanie: kto z dwóch potencjalnych kandydatów na kanclerza — Kiesinger czy Brandt (przywódca SPD) zasiądzie ostatecznie na kanclerskim fotelu — nie ma jeszcze odpowiedzi.

Zainteresowanie wzbudza także nagłe pogorszenie stosunków IZRAELA Z KRAJAMI ARABSKIMI. Zaatakowanie wsi jordańskiej przez wojska izraelskie spowodowało, jak pisze „Figaro", że wrogowie Izraela „zapomnieli o dzielących ich różnicach".

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ **W Wielkiej Brytanii coraz bardziej narasta niepokój opinii publicznej, w związku z wiadomością, jaka przeniknęła na łamy prasy, o stosowaniu przez rząd podsłuchu telefonicznego. Podobne obawy istnieją wśród członków parlamentu brytyjskiego.**

■ Sekretarz Komitetu Wykonawczego KC Związku Komunistów Chorwacji, Miki Tripalo, oświadczył, iż ZKJ zamierza wprowadzić zasadę pełnej jawności, w życiu partii, tak, aby zarówno cała partia, jak i społeczeństwo mogły orientować się o przekonaniach swoich przywódców i na tej podstawie określać swój stosunek do nich.

■ Najnowsze wyniki badania opinii publicznej w Anglii wskazują na spadek popularności Labour Party. W wypadku rozpisania w chwili obecnej wyborów powszechnych konserwatyści uzyskaliby 44 proc. głosów, zaś labourzyści 42 proc.

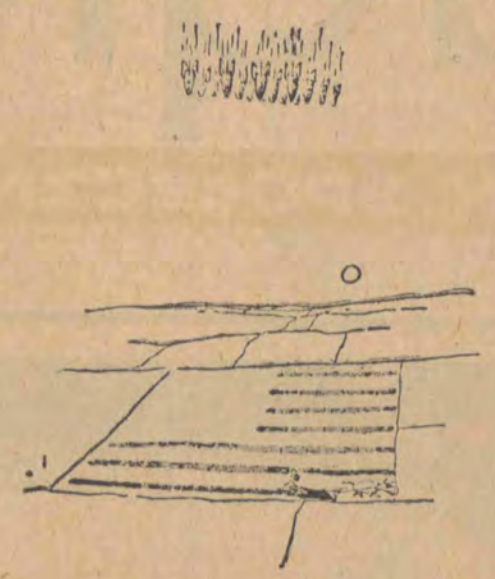

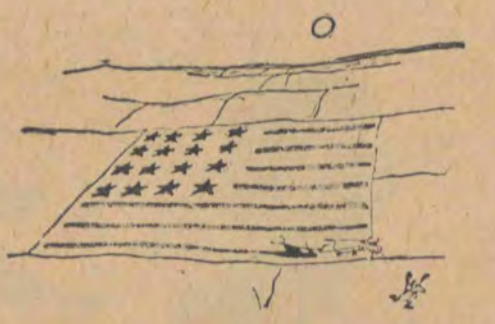

(„Literarni Noviny").

■ „Doszliśmy do wniosku, że osiągnęliśmy taki szczebel rozwoju, na którym dalsze rozszerzenie demokracji socjalistycznej jest możliwe, uzasadnione, a nawet konieczne" — powiedział premier Węgierskiej Republiki Ludowej Gyuli Kallai.

■ W ONZ rozpoczęła się debata w sprawie reprezentacji ChRL w tej organizacji. Komentując sytuację przed rozpoczęciem debaty chińskiej sprawozdawca DPA w Pekinie pisze: „Zdaniem obserwatorów dyplomatycznych w Pekinie debacie chińskiej w ONZ przypisać należy wartość czysto akademicką. ChRL wypowiada się w obecnych warunkach przeciwko przystąpieniu do ONZ nawet, gdyby wbrew oczekiwaniom, oddana została w związku z tym niezbędna większość dwóch trzecich głosów.

■ New York Times o karierze Roberta Kennedy'ego: R. F. Kennedy przed dwoma laty stał się nowojorczykiem, a dziś mógłby on przejąć stanową organizację partii demokratycznej i czekać na odpowiedni rok, aby wysunąć swą kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Miarą wzrostu popularności Roberta Kennedy'ego jest jego szczególna pozycja w Senacie. Gdy w roku ubiegłym jeden z senatorów skarżył się przewodniczącemu pewnej pod komisji, że senator Kennedy traktowany jest w sposób uprzywilejowany jak na członka Senatu, który dopiero został wybrany, ten odpowiedział: „O nie, traktuję go w taki sam sposób w jaki traktowałbym każdego przyszłego prezydenta".

■ **Z okazji rozpoczęcia nowego roku akademickiego na trzech uniwersytetach Kuby, w Hawanie, Santa Clara i Santiago de Cuba, podniesiono problem ściślejszego powiązania studiów z praktycznymi potrzebami życia, przełamania muru teoretyzmu i abstrakcyjnego nauczania. Podczas dyskusji na wydziale prawa uniwersytetu hawańskiego wysunięto sprawę reformy studiów, skrócenia czasu nauki z 5 do 4 lat. Słuchacze prawa będą mieli wykłady jedynie w okresie od stycznia do lipca, 4 do 5 miesięcy zaś będą spędzali na wsi, uczestnicząc w organizowaniu i pracy, tzw. trybunałów ludowych — rodzaju kolegiów orzekających.**

■ Brytyjski „Observer" w artykule „Jest już czas by Afryka dojrzała" — wyraża pogląd, iż głównymi czynnikami określającymi oblicze polityczne tego kontynentu jest słabość gospodarcza i bałkanizacja. Ponad 1/3 całej ludności afrykańskiej zamieszkuje w trzech największych krajach: Nigerii, Egipcie i Etiopii. Mniej niż 180 milionów mieszkańców przypada na ponad 47 państw, średnio po około 4 miliony mieszkańców na jeden kraj. 26 państw afrykańskich posiada ludność w liczbie poniżej 1 miliona.

■ Relacjonując światowe echa „proletariackiej rewolucji kulturalnej" pekiński dziennik Żenminżipao pisze: „Wielka proletariacka rewolucja w Chinach umocniła wolę narodów świata w ich dążeniu do rewolucji. Stanowi ona wielką zachętę dla rewolucyjnych narodów świata w ich walce z amerykańskim imperializmem, współczesnym rewizjonizmem i ze wszystkimi reakcjonistami. Rewolucja kulturalna ma większe znaczenie niż każda inna rewolucja w historii świata. W zasadniczym stopniu przyczyni się ona do przyśpieszenia historycznego procesu światowej rewolucji.

■ **Obroty handlowe Rumunii z kapitalistycznymi krajami Europy zachodniej wzrosły w okresie ostatnich 6 lat ponad czterokrotnie. W 1959 roku wartość wymiany handlowej Rumunii z Europą zachodnią wynosiła 720,7 miliona lei dewizowych (stanowiło to 11,8 proc. rumuńskiej wymiany handlowej). W 1965 roku wartość wymiany z tymi krajami osiągnęła cyfrę 3.198 milionów lei (24,5 proc. obrotów handlowych z zagranicą). Obroty z krajami kapitalistycznymi wykazują nadal tendencję wzrastającą. Jedną z większych, ostatnio zawartych transakcji jest umowa z francuską firmą Renault na zakup licencji i urządzeń dla dużej fabryki samochodów osobowych. Fabryka ta ma produkować rocznie 50 tysięcy samochodów typu „Renault-16 maior".**

■ Prezydent Gwinei Sekou Toure sprecyzował w swym przemówieniu do aktywu Gwinejskiej Partii Ludowej „10 przykazań doskonałego rewolucjonisty". Czwarte przykazanie głosi, że tylko walka polityczna wyzwoli Afrykę i że sprawy ekonomiczne nie mogą mieć w tym względzie większego znaczenia.

■ **Amerykański Instytut Badania Opinii Publicznej przeprowadził specjalne sondaże we Francji, NRF, W. Brytanii, Kanadzie, Australii i USA na temat polityki amerykańskiej w Wietnamie. Na postawione pytanie, czy Stany Zjednoczone powinny przystąpić do wycofywania swoich wojsk, padły następujące ilości głosów: Francja — 68 proc., NRF — 51 proc., W. Brytania — 42 proc., Kanada — 31 proc., Australia — 21 proc., USA — 18 proc. Za wzmożeniem przez USA ataków na Wietnam Północny wypowiedziało się we Francji — 5 proc., w NRF — 15 proc., w W. Brytanii — 16 proc., w Kanadzie — 17 prac., Australii — 24 proc., w USA — 55 proc.**

■ W czasie obrad kierownictwa KP Szwecji wysunięto propozycję zmiany nazwy partii. W komisji programowej przeważają propozycje trzech nazw partii: Partia Socjalistyczna, Partia Lewicy, Lewicowa Partia Komunistyczna.

■ Według oceny ekonomistów Pentagonu koszt rajdów lotnictwa amerykańskiego w Wietnamie z uwzględnieniem strąconych samolotów i kosztów obsługi wynosi blisko 5 miliardów dolarów rocznie.

■ **Prezydent Jugosławii Broz Tito wyraził zaniepokojenie z powodu niskiego tempa rozwoju oświaty i nauki w republikach jugosłowiańskich. Stwierdził on m. in. że system nauki i oświaty był dotychczas poważnie zaniedbany. Ilość analfabetów wydaje się obecnie być większa niż 10—12 lat temu. Prezydent Tito stwierdził również, że płace nauczycieli, pracowników naukowych i profesorów są znacznie niższe niż w administracji i przemyśle.**

Szkółka, która stała się szkołą

Właściwie to stoją tam one obie, każda z osobna, obok siebie w tym Ruścu. Kiedy się wjeżdża do wsi od strony Szczercowa widzi się najpierw z lewa ciemny piętrowy budynek tuż przy samej szosie — to dzisiejsza szkoła, a tuż za nią na zakręcie szosy widać drugi budynek, ale parterowy, jasny i zgrabny z małym ganeczkiem od frontu — to owa dawna szkółka. I o niej właśnie będzie mowa.

Ale przedtem warto może powiedzieć co nieco o samym Ruścu. Ktokolwiek jedzie szosą z Piotrkowa do Wielunia, albo odwrotnie, musi gdzieś mniej więcej w połowie drogi, ściśle między miasteczkiem Szczercowem nad Widawką a Osjakowem nad Wartą, zwrócić uwagę na największą i najpiękniejszą wieś na tej trasie — na Rusiec nad Nieciecz ą.

Ani Szczerców odległy o 9 kilometrów od Ruśca, ani Osjaków o 11, chociaż są miasteczkami, nie mają stacji kolejowej. Rusiec ma. Leży bowiem przy tak zwanej linii średnicowej, to znaczy głównej magistrali, łączącej śląskie zagłębie węglowe z głównymi portami morskimi — Gdańskiem i Gdynią. Z natury swego położenia jest więc Rusiec jakby punktem zbornym i ośrodkiem jednoczącym wobec okolicznych wsi i miasteczek. A jeżeli się zważy, że swojska rzeczka Niecieca, po której obu zielonych brzegach leży Rusiec, wpada powyżej miasteczka Widawy do krętej rzeki Widawki, a ta nieco poniżej Sieradza do wartkiej rzeki Warty — przyjdzie Rusiec uznać za naturalną stolicę tego trójrzecza, najbardziej urzekającego w naszym województwie zakątka, którego piękno krajobrazowe polega na harmonijnej sekwencji lasów, łąk i pól uprawnych.

Ale Rusiec godny jest uwagi także i ze względu na swą historię. Jej początek jak w przypadku większości starych osiedli ginie w pomroce czasów. Wiadomo tylko, że w XVI wieku Rusiec należał do magnackiego rodu Koniecpolskich i nazywał się podobno Toporów. Możliwe, że od herbu Oksza, którego symbolem, jak wiadomo, jest topór. Była to część wsi leżąca po prawej stronie Niecieczy i nazywana przez jej mieszkańców do dziś dnia „miasteczkiem". Tutaj Koniecpolscy mieli jedną ze swych warownych rezydencji, zbudowaną zapewne na miejscu dawnego obronnego grodziszcza, sądząc z dzisiejszej topografii „miasteczka", leżącego jakby na piaszczystej wyspie otoczonej zewsząd bagnistymi łąkami w najwęższym styku dwóch rzek: Niecieczy i Krasówki. Tutaj w owym „miasteczku" jedna z najgodniejszych i najwybitniejszych postaci tego rodu w naszej historii, zrazu skromny wojewodzic sieradzki, potem starosta wieluński, potem kasztelan krakowski, a wreszcie wojewoda sandomierski i sławny z szeregu decydujących zwycięstw hetman wielki koronny, światły i zasłużony senator, dyplomata i doradca królewski, Stanisław Koniecpolski, wystawił w roku 1643 kościół modrzewiowy, podobny do tego, który jeszcze do dziś przetrwał w pobliskich Kaszewicach, ufundowany w roku 1612 przez starszego krewniaka hetmana Michała Koniecpolskiego.

Z czasem minęła świetność Toporowa, zwłaszcza gdy przeszedł w posiadanie Walewskich, zatracił nawet swą nazwę na rzecz lewobrzeżnej, bezmiennej dotąd, części osiedla, nazywanej z łacińska „rus", co znaczy wieś. I tak oto zgodnie ze swoistymi prawami etymologii ludowej narodził się dzisiejszy Rusiec.

Mieszkańcy Ruśca znali swój świetny początek i kontynuowali jego dalszy ciąg. Brali udział w powstaniu listopadowym pod dowództwem postępowego dziedzica z pobliskiej wsi Prądzewa, sławnego ze zwycięstwa pod Iganiami gen. Ignacego Prądzyńskiego. Brali także udział w powstaniu styczniowym, mianowicie w głośnej bitwie pod Sędziejewicami, tuż nieopodal Ruśca. Po upadku rewolucji 1905-7 roku ukrywali wśród siebie ściganych przez carat jej łódzkich bojowników. Coś niecoś wiem o tym z późniejszych opowiadań mojej matki, dla której Rusiec był wsią rodzinną.

Nic więc dziwnego, że Rusiec zaraz po uwłaszczeniu pierwszy spośród okolicznych wsi pozbył się dworu, pierwszy zlikwidował serwituty pańszczyźniane, pierwszy w roku 1908, korzystając z porewolucyjnego osłabienia ucisku carskiego, zbudował murowaną szkołę na miejscu dawnych obór dworskich, w której po raz pierwszy dzieci pozbawionych oświaty chłopów rusieckich obok obowiązującej historii imperium i panującego domu carskiego nabywały także znajomości pierwszych zasad rachowania, czytania i pisania.

Ale w pełni polska szkoła powstała w Ruścu dopiero po całkowitej likwidacji zaboru carskiego w roku 1915. Rusiec w czasie pierwszej wojny światowej dostał się pod okupację austriacką, gdzie działały już polskie organizacje szkolne i oświatowe. Właśnie jesienią tegoż roku przyjechała do Ruśca z trudnym zadaniem zorganizowania pierwszej niepodległej polskiej szkoły młodziutka, świeżo upieczona maturzystka łódzka, Zofia Ponińska. Bez doświadczenia, bez żadnego wzoru z przeszłości, z samą tylko wiarą, że „zapał tworzy cuda", zabrała się do roboty, aby z ledwie wegetującej szkółki po rocznej przerwie wojennej stworzyć prawdziwą szkołę. Zamieszkała wraz z rodziną siostry (która się u niej schroniła w ciężkich okupacyjnych warunkach) jedną połowę owego parterowego budynku, a w drugiej połowie, którą stanowiła jedna duża sala, odbywały się lekcje początkowo dla trzech, a potem czterech klas jednocześnie. Zaledwie dziewiętnastoletnia nauczycielka dosłownie troiła się i wielokrotniła, aby sprostać zadaniu. Niby tkaczka pracująca na czterech krosnach na raz. Dziś nikt z młodszej generacji nauczycielskiej nie ma zielonego pojęcia o heroicznych wprost trudach takiej pracy. Wprawdzie pomagali jej w tym wysiłku od czasu do czasu brat Aleksander i siostra Stefania, i najbardziej oddany działalności społecznej młody inteligent wiejski, syn miejscowego organisty, Edmund Krysiak, który w zapale pracy oświatowej i inicjatywie imprez kulturalnych był godnym partnerem tej pierwszej w Ruścu uskrzydlonej entuzjazmem polskiej nauczycielki.

Ale dla rozpierającej ją energii sama szkoła tej „siłaczce" nie wystarczała. Stworzyła przy szkole coś w rodzaju biblioteki i wypożyczalni książek nie tylko dla dzieci szkolnych, ale i dla dorosłych ze wsi. Powstał w szkole chór i coś w rodzaju zespołu dramatycznego przy bardzo czynnym współudziale Edmunda Krysiaka. Zespół ten podczas każdych ferii świątecznych urządzał otwarte przedstawienia dla mieszkańców Ruśca i okolicy. Wystawiano na zaimprowizowanej scenie z nie heblowanych desek przyozdobionych amatorskimi dekoracjami ludowe pastorałki, komedyjki i patriotyczne wodewile.

Tak więc ta skromna szkółka początkowej nauki czytania i pisania stała się wkrótce poważną szkołą patriotyzmu, świadomości obywatelskiej i żywych aspiracji kulturalnych dla całego Ruśca i wsi okolicznych. Należałem do gromadki pierwszych uczniów tej szkoły, której twórczynią, kierowniczką, duchem ożywczym i nieustannym natchnieniem była pierwsza jej i moja polska nauczycielka, Zofia Ponińska. Ona pierwsza, kiedy zwierzyłem się jej z manii pisania wierszy, pochwaliła mnie za to i zachęciła do dalszej nauki. Rozpaliła we mnie zapał i entuzjazm do dziedzictwa wielkiej naszej literatury i sztuki.

Ilekroć myślę o Ruścu, wsi rodzinnej mojej matki — myślę o pierwszej mojej nauczycielce pierwszej w Ruścu szkoły polskiej, która w roku bieżącym obchodzi jubileusz swego pięćdziesięciolecia. Podczas tej uroczystości oddany zostanie należny hołd nie tylko nauczycielce, ale i działaczce społecznej i kulturalnej, tak bardzo zasłużonej dla Ruśca i okolic. Przyjdą starzy obywatele tej wsi, jako pierwsi jej uczniowie, a wśród nich znajdę się i ja, ażeby uczcić w swej pierwszej nauczycielce żywy symbol patriotycznej pracy i poświęcenia dla wielkiej sprawy oświaty i kultury narodowej.

MARIAN PIECHAL

Jak to było z budową TEATRU WIELKIEGO w Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

na wydłużeniu cyklu budowy. Przecież to nie targi o koncepcję co ma się tu ostatecznie mieścić, kto ma kończyć ten ogrom, drugi w Polsce, dwunasty w Europie — jak pisze w „Odgłosach", lecz zgoła inne przyczyny spowodowały dwadzieścia lub jak chcą inni siedemnaście lat budowy. Sprawa wymaga wyjaśnienia głównie dlatego, aby położyć kres mitom, które nawarstwiły się wokół budowy i które funkcjonują wbrew faktom rzeczywistym.

Po wyzwoleniu Łodzi spod okupacji hitlerowskiej szybko dojrzewała w mieście idea zbudowania w jak najkrótszym czasie nowego budynku teatralnego. Wielkim orędownikiem sprawy budowy teatru był Leon Schiller, który w gorących słowach apelował o wzniesienie nowego obiektu. **„Póki będziemy męczyć się w ruderach uchodzących za teatry, póty społeczeństwo łódzkie pozbawione będzie obcowania z najpotężniejszymi dziełami polskiej dramaturgii monumentalnej, z większością utworów Szekspira i w ogóle z widowiskami wymagającymi skomplikowanej techniki inscenizacyjnej. Dlatego też gorąco apelujemy do ofiarności obywatelskiej tych wszystkich, którym na sercu leży, by w Stolicy Pracy jak najprędzej powstał teatr tego świata godzien".**

Słowa wielkiego inscenizatora i reformatora Teatru Polskiego nie pozostały bez echa. Na przełomie lat 1945 — 1946 ukonstytuował się Społeczny Komitet Budowy Teatru Narodowego, który podjął szereg kroków zmierzających do rozpoczęcia prac inwestycyjnych. Niektórzy datują od tego momentu rozpoczęcie budowy. Jest w tym na pewno przesada. Pierwszy okres działalności Komitetu poza dość szeroką kampanią propagandową oraz gromadzeniem środków pieniężnych niczym innym nie da się wyróżnić. Konkretniejsze poczynania przypadają na lata późniejsze. W aktach Społecznego Komitetu znajduje się pismo z dnia 21 kwietnia 1948 r. do Ministra Kultury i Sztuki z wnioskiem o ogłoszenie konkursu na projekt Teatru Narodowego w Łodzi. A więc dopiero po upływie ponad dwóch lat podjęto decyzję, która zapoczątkowała prace projektowe. 10 lipca 1948 roku został ogłoszony konkurs: „Na rozwiązanie architektoniczne gmachu Teatru Narodowego w Łodzi oraz odpowiednio z nim związanego ukształtowania placu Dąbrowskiego, na którym Teatr ten ma być wzniesiony z rozwiązaniem problemu skrzyżowania ulicy Narutowicza i ulicy Jaracza z ulicą Sterlinga". Okres składania prac konkursowych trwał do 10 października. W kilka tygodni później, w dniu 16 grudnia jedenastoosobowy Sąd Konkursowy rozpatrzył siedemnaście projektów, spośród których postanowiono nagrodzić cztery prace oraz szereg projektów zakupić.

W dniu 12 stycznia na plenarnym posiedzeniu Komitetu Budowy Teatru wybrano spośród wyróżnionych prac jeden z projektów nagrodzony drugą nagrodą. Miał on stanowić podstawę do realizacji budowy. Był to projekt młodych architektów — Zygmunta Majerskiego i inż. Juliana Duchowicza z Gliwic. Ze względu na konieczność rozważenia szeregu wątpliwości powołana została Komisja Techniczna pod przewodnictwem ówczesnego Prezydenta miasta Łodzi Eugeniusza Stawińskiego. O sprawach tych donosił „Express Ilustrowany" — „Projekt przewiduje zburzenie Domu Starców przy ul. Narutowicza albowiem budynek ten przesłania częściowo widok na gmach Teatru, który stanąć ma po lewej stronie poszerzonego placu Dąbrowskiego.

Jak wiadomo — pisze „Express" — przez środkową oś placu biec ma przedłużenie ulicy Targowej do ulicy Sterlinga. Gdyby więc zmieniono powyższy projekt przesuwając teatr na środek placu Dąbrowskiego wówczas ulica okrążałaby budynek Teatru".

Komisja Techniczna analizując propozycje postanowiła przesunąć obiekt dla lepszej widoczności na oś placu Dąbrowskiego, unikając tym samym koniecznych wyburzeń. Decyzja ta wywołała poważne perturbacje. Jak wynika z protokołu nr 4 tejże Komisji, z dnia 15 marca 1949 roku inżynierowie Duchowicz i Majerski zrezygnowali z dalszego udziału w opracowywaniu projektu z uwagi na to, że zmiana usytuowania teatru przekreślała ich pierwotne założenia. Wobec takiej sytuacji nie pozostało nic innego jak powołać nowy zespół projektantów. I rzeczywiście niebawem w ramach Centralnego Biura Projektów Architektonicznych i Budowlanych utworzono zespół, który podjął się opracowania projektu zgodnie z lokalizacyjnymi sugestiami. W skład nowego zespołu projektującego weszli m. in. inż. arch. Józef Korski, inż. arch. Witold Korski oraz inż. architekt Roman Szymborski.

Nowi projektanci w szybkim tempie uporali się z trudnym zadaniem. W dniu 24 września 1949 r. prasa donosiła, że Komisja CBPAiB projekt przyjęła bez zastrzeżeń, wyrażając przy tym zdanie, że poza monumentalnością cechuje go maksimum ekonomii, że „przyjęcie projektu przez Komisję Biura projektującego jest dużym krokiem naprzód, gdyż w tej chwili — jak pisano — zniknęły już zasadnicze przeszkody, które oddalały termin rozpoczęcia robót.

Niewiele śladów na temat tej notatki znajduje się w aktach budowy. Trudno więc jest stwierdzić, w jakim stadium znajdowały się projekty. **Jedno jest pewne, że założenia projektowe wraz z projektem opracowane przez nowy zespół, zatwierdzone zostały dopiero w dniu 17 lutego 1950 r.** Natomiast projekt techniczny — 13 października 1950 r. Nie była to prawdopodobnie jeszcze pełna dokumentacja, lecz jedynie zamknięcie pewnej fazy projektowania. Świadczyć może o tym fakt ponownego rozpatrywania w roku 1953 skorygowanego projektu architektonicznego, niestety wciąż jeszcze bez projektów instalacji i urządzeń scenicznych.

Wyłaniające się kłopoty nie wpłynęły hamująco na decyzję władz miasta odnośnie rozpoczęcia budowy. **W dniu 3 czerwca 1949 roku Rada Miejska podjęła uchwałę o wszczęciu robót przy budowie Teatru.** Zaś 27 czerwca tego roku Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane zawiadomiło Wydział Odbudowy Zarządu Miejskiego, że przystąpiło do ogradzania placu budowy. Czym tłumaczyć ten pośpiech?

Rąbek tajemnicy odsłania artykuł J. Gozdawy, zamieszczony w „Dzienniku Łódzkim", w dniu 14 sierpnia 1949 r. Pod sensacyjnie brzmiącym tytułem „Teatr z legendy przechodzi w stadium realizacji. Widownia na 1500 miejsc. Gdzie? W Łodzi" — czytamy następującą informację „Obszerny plac Dąbrowskiego zmienił się nie do poznania. Za białym parkanem... milion sto tysięcy cegieł. Zgromadzono tu również duże ilości i desek i innych materiałów budowlanych. Przygotowanie terenu pod budowę oraz montaż szop dobiega końca, kiedyż więc położy się kamień węgielny pod gmach Teatru Narodowego w Łodzi? Sprawa ta jest niestety bardziej skomplikowana niż się wydaje. Jakiś złośliwy pech przeszkadza Łodzi w budowie. Konkurs na projekt spalił na panewce". Dalej autor pisze o działalności nowego zespołu podkreślając, że w końcu sierpnia odbędzie się w stolicy specjalne kolegium składające się z przedstawicieli CBPA i Ministerstwa Budownictwa, które wypowie się na temat opracowanych — jak określa autor artykułu „szkiców".

Pisząc o występujących trudnościach Gozdawa zwraca uwagę, że... „Władze centralne w Warszawie wysuwały do niedawna propozycję odłożenia rozpoczęcia budowy do przyszłego roku. Innego zdania jest Łódź, która pragnie już w tym roku przystąpić do budowy. Na naszą korzyść przemawia wiele argumentów, a m. in. to, że są kredyty, zgromadzono materiały budowlane i wykonano prace przygotowawczo-techniczne, umożliwiając założenie fundamentów i budowę wanny podscenicznej". A więc władze centralne chciały odłożyć budowę do 1950 roku, ale samorząd miejski nie chciał się na to zgodzić. Dlaczego?

Odpowiedzi na te pytania należy szukać w planowanych już w 1948 r. zmianach w systemie zarządzania. Już w styczniu 1949 roku jeden z dzienników łódzkich pisał: „Miasto przekaże teatry i muzea Ministerstwu Kultury i Sztuki. — Samorząd winien interesować się tylko bezpośrednimi potrzebami ludności". Jak rozumiano wówczas owe bezpośrednie potrzeby wynika z dalszej części artykułu: „Poczynając od 1950 roku z budżetu samorządu łódzkiego winny zniknąć wszelkie wydatki na prowadzenie filharmonii, teatrów, muzeów itp. Według zaleceń Rady Państwa polem działalności samorządu na polu kultury i sztuki jest upowszechnianie kultury na danym terenie. W tym celu samorząd łódzki powinien zakładać i prowadzić świetlice robotnicze w dzielnicach fabrycznych i domach ludowych. Miasto winno popierać istniejące przy związkach świetlice materialnie i moralnie, brać aktywny udział przy organizowaniu teatrów amatorskich, orkiestr, chórów ludowych itp."

Wydaje się, że w tej sytuacji pośpiech był całkowicie uzasadniony.

7 października 1949 roku „Dziennik Łódzki" doniósł, że „roboty na placu Dąbrowskiego już rozpoczęto. Wczoraj — czytamy w artykule — wytyczono teren pod budowę nowego teatru, dzisiaj zaś przystąpiono do wykopków pod część sceniczną budynku. Obecnie pozostaje jeszcze jeden poważny problem ludzi do pracy". Zaś „Express Ilustrowany" pisał ze zrozumiałym ubolewaniem: „W tym roku wykona się jedynie fundamenty i tzw. wannę podsceniczną, umieszczoną na głębokości 8 metrów pod ziemią..."

Tak zaczęła się budowa drugiego co do wielkości teatru w Polsce. Nic też dziwnego, że od samego początku inwestycja natrafiła na szereg poważnych trudności, a budowa posuwała się w ślimaczym tempie. Do wiosny 1952 roku, a więc w ciągu trzech lat wybudowano stosunkowo niewiele, zaledwie część zascenia, fragment części scenicznej, a także schody części frontowej. Dalsze lata przyniosły jeszcze większe kłopoty. Od 1953 roku do 1954 roku prowadzone były jedynie roboty zabezpieczające istniejący stan przed działaniem wpływów atmosferycznych. Ponadto czyniono starania objęcia budowy planem inwestycyjnym. O wielkości wykonanych prac w tym czasie może świadczyć wysokość poniesionych nakładów finansowych. Wynoszą one zaledwie niepełne 6% wartości obiektu.

Momentem zwrotnym dla wznoszonego teatru był rok 1955. Budowa została objęta Narodowym Planem Inwestycyjnym oraz powołano wtedy Zarząd Inwestycji. Od tego momentu ożywiło się tempo robót. Świadczy o tym wzrost nakładów finansowych. W ciągu lat czterech tj. od 1955—1958 roku zainwestowano blisko trzy razy więcej aniżeli w poprzedzającym ponad pięć i pół letnim okresie. Oceniając ten okres budowy należy podkreślić, że w latach 1957—1958 dokonane zostały zmiany w programie użytkowym i funkcjonalnym teatru. Będący w budowie Teatr Dramatyczny postanowiono przystosować do potrzeb Opery, która — jak wiadomo — rozpoczęła w tym czasie swoją działalność na gościnnych scenach teatrów łódzkich. Pociągnęło to za sobą konieczność zmian w opracowanej już dokumentacji, częściowych przeróbek we wzniesionym już budynku, uzupełnienie istniejących projektów wieloma projektami branżowymi, a także dalszej rozbudowy gmachu. Nowy program użytkowy i funkcjonalny teatru tak dalece odbiegał od poprzednich założeń, iż było to w zasadzie rozpoczęcie wznoszenia zgoła innego gmachu z wykorzystaniem tego co dotychczas zostało zbudowane. W tym stanie w 1959 roku zgodnie z występującymi wówczas tendencjami zmierzającymi do decentralizacji życia kulturalnego, budowę przejęło Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Rozpoczęła się teraz kampania o jak najszybsze zakończenie budowy. Ale nie była to sprawa łatwa. Brak szeregu projektów nowych rozwiązań, wynikających z założonych zmian hamował tempo budowy. Ponadto w trakcie ustalania wysokości niezbędnych kwot do zakończenia inwestycji okazało się, że wiele zestawień kosztów budowy jest wysoce niedokładnych i wymaga ponownych analiz i opracowań. Tak więc inwestycja wchodząc w ramy planu terenowego nie posiadała kompletnej dokumentacji technicznej ani też uporządkowanych spraw finansowych. Mimo tych trudności tempo prac nie zmalało. Dla ilustracji posłużmy się raz jeszcze wskaźnikami finansowymi. Jeżeli w latach 1955—1958, kiedy budowa była finansowana z budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki wydatkowano przeciętnie każdego roku ok. 7 milionów złotych, to w latach 1959—1960 średnioroczne nakłady wyniosły ponad 20 milionów złotych **Zaś w ciągu ostatnich dwóch lat budowy, czyli w roku 1965 i 1966 wydatkowano ponad 60 milionów złotych.**

Efektem konkretnych wysiłków było oddanie Operze Łódzkiej już w roku 1960 do eksploatacji części zascenicznej budynku głównego o kubaturze 30.000 m³, obejmującej pomieszczenia: administracyjne, sale prób, baletu, chóru i orkiestry, część pracowni oraz garderoby indywidualne i zbiorowe, a także pokoje ćwiczeń solistów. Zaś cztery lata później Opera przejęła budynek techniczny o kubaturze 27.000 m³. Pozostał jeszcze budynek główny, którego wykończenie, niestety, musiało potrwać odpowiedni okres czasu ze względu na skomplikowane urządzenia w jakie wyposażona jest ta placówka.

Dla dalszych rozważań konieczna jest garść informacji o teatrze. Zacznijmy od części scenicznej.

Łączna powierzchnia sceny głównej i tylnej wraz z bocznymi magazynami tzw. kieszeniami stanowiącymi pomieszczenia dla montażu dekoracji wynosi — 1.711 m². Natomiast wysokość podscenia do rusztu technicznego 48,5 metra, zaś głębokość od otworu portalowego do ściany sceny tylnej — 40,23 m W tej wielkiej przestrzeni gdzie będzie się rozgrywać akcja sceniczna, łącznie z jej zapleczem, zainstalowano setki urządzeń technicznych umożliwiających szybkie manewrowanie elementami dekoracyjnymi jak i stwarzanie takich warunków, jakie wymagają wszelkiego typu widowiska nawet o najbardziej skomplikowanej inscenizacji.

Mamy więc scenę obrotową, której średnica wynosi 16 metrów, 51 urządzeń do podnoszenia i zawieszania dekoracji tzw. sztankietów, w tym 23 z napędem elektrycznym, 9 ruchomych mostów wyposażonych w dziesiątki reflektorów oraz w aparaturę dla efektów świetlnych, trzy horyzonty, 4 podnoszone kurtyny stalowe i dwie zasuwane o łącznej wadze 54 tony, stanowiące zabezpieczenie przeciwpożarowe oraz kilka kurtyn tekstylnych.

Podłoga sceny zaopatrzona jest w sześć zapadni, ponadto dwie zapadnie znajdują się w fosie orkiestrowej. W bocznych kieszeniach, a także na zapleczu sceny głównej znajduje się 15 wózków, które ze zmontowanymi dekoracjami, dzięki napędom elektrycznym mogą wjechać na scenę główną nawet przy podniesionej kurtynie, wywołując odpowiedni efekt wizualny. Jak dalece zmechanizowane są procesy technologiczne może świadczyć fakt, że w teatrze znajdzie się 227 silników elektrycznych, w tym w bloku sceny —112. Te wszystkie urządzenia zostały wykonane po roku 1960, a więc w stosunkowo szybkim tempie.

Drugim podstawowym obiektem gmachu teatralnego jest widownia, wyposażona w 1270 foteli. Zdając sobie sprawę, że na podstawie nawet dokładnego opisu nie będzie można dokonać charakterystyki jej walorów, ograniczmy się do stwierdzenia, że jest ona przedmiotem chluby zarówno ze względu na funkcjonalność jak i estetykę.

Scena i widownia to niewielki fragment budynku teatralnego. Na zapleczu teatru znajduje się 21 pomieszczeń magazynowych, 22 pracownie rzemieślnicze, 13 garderób o łącznej ilości 256 miejsc, 6 sal prób i 16 pokoi prób indywidualnych. Ponadto pomieszczenia na takie agregaty, jak: pompy i kompresory, stacje transformatorowe i akumulatornie, zespoły transduktorów i urządzeń sygnalizacyjnych oraz szereg innych mechanizmów specjalistycznych.

Teatr wyposażony jest w 10 dźwigów o nośności od 300 kg do 12.000 kg. Aby zapewnić należyte warunki cieplne w całym teatrze zainstalowane zostały odpowiednie urządzenia klimatyzacyjne. W budynku znajdują się 22 wentylatory, których łączny nawiew wynosi 207.000 m³ powietrza na godzinę oraz specjalne urządzenia do automatycznego regulowania temperatur na widowni. Ponadto teatr posiada własną automatyczną centralę telefoniczną z 200 wewnętrznymi numerami. Jest zradiofonizowany — 400 głośników i 30 punktów mikrofonowych. Posiada nadajniki radiofonii bezprzewodowej oraz 20 aparatów odbiorczych a także wewnętrzne urządzenie telewizyjne z trzema kamerami i siedmioma monitorami.

Jak rozległa była problematyka tej budowy może świadczyć fakt, że dokumentację opracowywało piętnaście specjalistycznych biur projektowych z Łodzi, Warszawy i Krakowa, a prace budowlano-montażowe i instalacyjne wykonywało 36 przedsiębiorstw niemal z całej Polski. Warto również nadmienić, że prawie wszystkie urządzenia teatru łódzkiego zostały wykonane w kraju i stanowią prototypową produkcję. Na przykład kilkumetrowe śruby podnoszące zapadnie wykonywała Stocznia Marynarki Wojennej, która jak wiadomo nie specjalizuje się w dziedzinie budowy urządzeń teatralnych.

Pomimo tych trudności i kłopotów jesteśmy wreszcie u mety. Historia tej budowy jest niewątpliwie długa ale nie pokrywa się ona z okresem faktycznej budowy. **Jest także prawdą niezaprzeczalną, że teatr jest inicjatywą Łodzi, że zbudowali go głównie łódzcy robotnicy zarówno z przedsiębiorstw budowlanych jak i naszych fabryk, że powinien stać się chlubą naszego miasta.** Dlatego powtórzmy za „Expressem" dzisiaj już bez pudła nieco modyfikując wypowiedź: A więc łodzianie cieszcie się, że za kilka tygodni będziecie mieli teatr, o którym dawno marzyliście.

RYSZARD STEFAŃCZYK

O czym marzy prezes?

Dalszy ciąg ze str. 1

urodzili się, gdy święty ponownie stał już na swym miejscu, jest on po prostu rzeźbą bez nazwy i imienia. Ale na podobny przywilej zachowania incognito w żadnym jednak razie nie może liczyć przybysz. Najmłodsze pokolenie Praszki płci męskiej przesiadujące całymi dniami na ławkach w rynku pomimo dotkliwego chłodu, od razu puszcza wieść, że „przyjechał jakiś korespondent".

Starając się wyprzedzić tę wiadomość „korespondent" dociera do zlokalizowanej w narożnym budynku gospody GS, którą w dobrych, przedwojennych czasach prowadził jako restaurację obywatel Biskup, osoba najzupełniej świecka. Po wojnie właściciel wyniósł się do stolicy, gdzie prowadzi przedsiębiorstwo transportowe. Jego żona i dzieci zostali na miejscu, w Praszce. Ale w gospodzie króluje dzisiaj, nie mająca nic wspólnego z rodziną restauratorów, wiecznie zabiegana kelnerka panna Krysia, która zna się na dobrych manierach. Czy nie jestem z Warszawy, zapytała od razu, tytułując mnie w ten sposób nieco wyżej niż zasługiwałem.

OD WIEDNIA DO POCZDAMU

Miejscowi opowiadają, że na podmokłych łąkach praszkowskich do dziś walają się wśród traw obalone w roku 1945 słupy graniczne. Nie jest to jedyna pozostałość dawnych czasów. Nieopodal nowego mostu na Prośnie, blisko rzeki, stoją niemal naprzeciw siebie dwa tylko budynki. W jednym z nich, okazałszym, mieści się posterunek milicji obywatelskiej, ale jeszcze 27 lat temu odbywały się w nim odprawy „zielonków" — straży nadgranicznej. Dom drugi, tam gdzie dziś okna zasłonięte papierem, był siedzibą komory celnej.

Już na mapach wydanych po Kongresie Wiedeńskim Prosnę zaznaczono jako rzekę graniczną między Królestwem Polskim a zaborem pruskim. Traktat wersalski usankcjonował ten krzywdzący Polskę stan rzeczy, na mapach więc cienka, wijąca się jak żmija kreska (rzeka nie była uregulowana) oddziela Rzeczpospolitą i Rzeszę Niemiecką. Hitlerowcy zajęli Praszkę w pierwszym dniu wojny, już przed piątą rano. Strażnik graniczny, z liczącego 5 osób posterunku, w ostatniej chwili wysadził most na rzece, ale nie potrafił zatrzymać niemieckiej nawały.

Wojnę przeżył tylko jeden „zielonek", pan Konieczny, pracownik Miejskiej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu. Reszta strażników granicznych podzieliła los przeszło połowy mieszkańców Praszki. Spis ludności ujawnił, że jeszcze teraz, w porównaniu ze stanem przedwojennym deficyt demograficzny wynosi około 2.000 osób.

Układ Poczdamski przywrócił Polsce Ziemie Zachodnie i granica państwa przesunęła się nad Odrę. Od tej pory rzeka Prosna oddziela już tylko terytoria dwóch województw: opolskiego i łódzkiego. Na pierwszych metrach Ziem Odzyskanych wznosi się dziś budynek Zasadniczej Szkoły Mechanizacji Rolnictwa w Praszce. Baraki, w których mieszczą się warsztaty szkolne, miejscowi pamiętają jako prymitywną łaźnię dla robotników polskich werbowanych na saksy.

LEGENDA O GRANICY

Wróćmy jednak do pomnika. Choć to przesada, że co drugi dom w dawnej Praszce utrzymywał się ze szmuglu, od podejrzeń nie jest całkiem wolny nawet święty Florian, patron strażaków. Zarówno straż ogniowa polska jak i niemiecka, miały przywilej wolnego przejazdu przez granicę do pożaru. Kiedy relacje cen po obu stronach Prosny uczyniły przemyt niezwykle opłacalnym, ogień spustoszył wszystkie stare szopy i rudery tak doszczętnie, jakby był głosem rozeźlonych niebios.

Ci jednak, którzy nie mieli wolnego przejazdu przez granicę, musieli się imać bardziej przyziemnych sposobów. Sporo mógłby na ten temat powiedzieć, gdyby jeszcze żył, właściciel przemytniczego przedsiębiorstwa spedycyjnego, Sieradzki — hurtownik, który wynajmował w charakterze tragarzy bezrobotnych miasta Praszki i był dla nich jak ojciec. Sieradzki miał na składzie zboże i konie, które wysyłał na stronę niemiecką, przyjmował zaś w zamian tytoń, sacharynę, kamienie do zapalniczek, brzytwy, nożyce i sztućce stołowe. Niezbyt skomplikowana kombinacja towarowo-finansowa pozwalała na osiągnięcie czterokrotnego zysku.

Obok tego „przedsiębiorcy", w okolicznych wsiach działali amatorzy z ogromną rutyną i nie mniejszą od niej fantazją. Taki Kukuł z Gany czy Jaroń z Wygiełdowa, powiadają ludzie, to byli prawdziwi spece. Kukuł zasłynął tym, że kilkakrotnie sprzedał Niemcom te same konie. Jaroń był też nie lada koniarzem, a jedna stara szkapę podarował nawet Führerowi. Stało się to wówczas, gdy strażników niemieckich na Prośnie zastąpiły oddziały S.A. Jak głosi legenda, w kwietniu 1939 roku, w dniu urodzin Hitlera Jaroń zmajstrował kukłę przypominającą do złudzenia wodza Rzeszy, wsadził ją na grzbiet zabiedzonej chabety, która miała przypięty do ogona plakat-laurkę z napisem: „Führerowi na Geburstag" i przeprawiwszy się potajemnie przez granicę, ten wyszukany prezent uwiązał przed budynkiem komendy S.A.

GRANICA BEZ LEGENDY

Pan Janczak, który w roku 1922 był komendantem straży granicznej w Praszce, a potem długie lata pełnił tę samą funkcję nad rzeką Liswartą, opowiada o grubej aferze przemytniczej, która trafiła nawet na forum obrad Reichstagu. Jest to sprawa masła paczkowanego w Niemczech, a wysyłanego nielegalnie z Polski, w którym komisja specjalistów w Berlinie wykryła więcej niż połowę margaryny, notabene także pochodzącej ze szmuglu z Wolnego Miasta Gdańska. Ale na skutek interpelacji poselskiej niemieckie straże graniczne otrzymały polecenie bezwzględnego strzelania do kontrabandzistów, a wody Prosny nie raz zabarwiły się krwią. Po obsadzeniu brzegów rzeki przez oddziały S.A. przemyt towarów ustał niemal zupełnie. Strona niemiecka natomiast zaczęła wysyłkę do Polski innego już rodzaju kontrabandy, stanowiącej wyraźną przygrywkę do wojny. W samej Praszce straże graniczne ujęły trzech szpiegów Rzeszy, a wobec szczupłości polskich posterunków należy przypuszczać, że dziesięciokrotnie większa liczba emisariuszy Hitlera bezpiecznie prześliznęła się przez Prosnę.

Dla Polaków granica otwierała się raz w roku, wczesną wiosną. W lutym i marcu Praszka przeżywała wstrząs, jakiego nie można było porównywać z żadnym jarmarkiem. To miasteczko nad Prosną stawało się nagle dla tysięcy ludzi przedprożem Ziemi Obiecanej. Przybysze lokowali się w domach prywatnych, w jedynym hoteliku, nocowali w budach i pod straganami, byle tylko zdobyć papiery potrzebne do zaangażowania na roboty w Niemczech. Ci, co już popróbowali chleba na saksach i znali prawdziwy smak tej Ziemi Obiecanej, nie próbowali odwodzić naiwnych od ich zamiarów. I tak nikt by im nie uwierzył. Po kilku tygodniach zabiegów spragniony pracy tłum z entuzjazmem cisnął się na punkt zborny, aby po ustawieniu w szereg przejść granicę. W grudniu następował powrót. Wynędzniali ludzie nie patrząc nikomu w oczy wstydliwie przechodzili most na Prośnie i zatrzymywali się na polskiej ziemi.

KRÓTKIE OPISANIE MIASTA PRASZKI

Na rynku, nieopodal świętego Floriana i kiosku „Ruchu", pełnią cierpliwie swoją służbę 3 taksówki ustawione paradnie jedna za drugą jak na ruchliwym, miejskim postoju. Po prawdzie najczęściej stoją, a kierowcy nudzą się w oczekiwaniu na śluby czy chrzciny, które wreszcie dostarczą im pasażerów i zarobku. Kto czeka cierpliwie, bywa nagrodzony. I chyba nie najgorzej, skoro urząd finansowy dał niektórym taksiarzom po 3.000 złotych domiaru, który zapłacili bez szemrania. O zwykłych pasażerów rzeczywiście nie jest w Praszce łatwo co może najlepiej zilustrować następujące prawo zwyczajowe:

Jeśli pracownik jakiejś instytucji, który w sprawach służbowych wyszedł do miasta jest pilnie potrzebny, wydawania się do urzędów zlokalizowanych w przewidywanym rejonie działań tegoż pracownika. Wtedy sekretarka wezwanego urzędu pilnie wygląda przez okno i skoro tylko spostrzeże poszukiwanego, umownymi znakami przekazuje mu nie cierpiącą zwłoki wiadomość.

To prawo zwyczajowe, daje, jak sądzę, pogląd zarówno na rozmiary terytorialne miasta jak i na stopień zażyłości jego mieszkańców.

Najdalej położony od rynku jest zakład przemysłowy zwany popularnie fabryką pomp. Oficjalna nazwa brzmi o wiele dostojniej: Zakłady Sprzętu Motoryzacyjnego. To główny pracodawca Praszki, daje chleb blisko 300 zatrudnionym. Zakłady kooperują z Żeraniem dostarczając FSO pompy wodne i olejowe, a także filtry. Drugim potentatem na rynku pracy jest Miejska Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu, zatrudniająca około 50 pracowników. Mniej więcej tyle samo pracowników liczą wszystkie pozostałe instytucje Praszki, co w zestawieniu z trzema tysiącami stałych mieszkańców okazuje się nie wystarczająca ilościa miejsc pracy. Część rodowitych praszkowian musi więc szukać chleba poza miastem.

TYLKO W NIEDZIELĘ

W dniach pochodów i uroczystych manifestacji, kiedy większość ludzi wylega na ulice, Praszka wydaje się na pierwszy rzut oka miastem kobiet. Tak utrzymuje gusenowiec, pan Bilski, u którego przyjezdny może się zatrzymać i otrzymać nocleg w pokoiku na piętrze, z żelaznym łóżkiem, pierzyna i ogromnym oleodrukiem przedstawiającym grzeszną Magdalenę.

To optyczne kłamstwo ma swoje uzasadnienie socjologiczne. Chwalić Boga, połączenia pekaesowe mamy u nas dobre, powiadają miejscowi, którzy skoro świt cisną się z biletami miesięcznymi do autobusów, gdzie gra się w skata i zolę czyli baśkę wygrywając od kolegów pieniądze na poranne piwko. Niektórzy korzystają z usług „paulinki". To kolej szerokotorowa PKP, której pociągi składają się jednocześnie z wagonów towarowych i osobowych. Na niektórych stacjach postoje przedłużają się, ponieważ do pociągu przyłącza się nowe wagony z ładunkiem i dlatego autobusy z reguły przyjeżdżają do Olesna dwukrotnie szybciej od nieco egzotycznej „paulinki".

Ale nie ci stali klienci PKP i PKS, choć są nimi z reguły mężczyźni, przyczyniają się do opinii o Praszce, jako mieście kobiet. Spory odsetek praszkowian „zaczepił" się w kopalniach i hutach Śląska. Ci mieszkają w hotelach robotniczych, odnajmują sublokatorskie pokoje i tylko niekiedy, od wielkiego dzwonu, przyjeżdżają do swych rodzin. Niektóre soboty są dniem łączenia się na powrót rozdzielonych ogromnymi odległościami par małżeńskich, rodzinnego wymiaru sprawiedliwości, ucierania ojcowską silną ręką nazbyt zadartych nosów synalków, którzy zdążyli już zapomnieć, co to znaczy męska siła; są dniem odpłaty za niewierność i nagrody za cnotę.

I tylko w niedziele na ulicach zauważyć można optyczną równowagę pomiędzy płcią słabą i płcią silną w mieście Praszce, kiedy szczęśliwe stadła małżeńskie udają się na spacer, który często zakończy się w gospodzie. W odróżnieniu od wielu łódzkich zakładów gastronomicznych gospoda w Praszce rokrocznie wypracowuje zysk 130.000 złotych.

A w poniedziałek? Lepiej nie mówić. To najsmutniejszy dzień. Dzień pożegnań.

AWANS

W tym roku Szkoła Mechanizacji Rolnictwa zyskała nowego pracownika z wyższym wykształceniem, mgr Annę Kotwicę, absolwentkę Uniwersytetu Jagiellońskiego. Młoda polonistka zamieszkała przy szkole. Zna los jednej ze swych poprzedniczek, która zakochała się w młodszym od siebie uczniu i razem z nim opuściła Praszkę. Gdyby ktoś chciał obarczać odpowiedzialnością za tę ucieczkę nauczycielki małomiasteczkową opinię publiczną Praszki, popadłby w ortodoksyjne krakanie. Zarówno rodzice dzieci kształcących się w szkole, jak i środowisko nauczycielskie podeszli do tego zdarzenia z księgi życia z rzadko spotykanym taktem.

Ma chyba swoją wymowę fakt, że w tym miasteczku leżącym na krańcach nikogo nie straszą długie włosy chłopców, czego na wsi pewnie nikt nie potrafiłby ścierpieć. Ale Praszka złoży jeszcze nie jeden dowód swojej tolerancyjności.

Można przypuszczać, że ten zaskakujący brak zaściankowych praktyk zawdzięcza miasto w pierwszym rzędzie rozbudowanej bazie kulturalnej. Ta baza to właściwie jeden budynek dawnej bożnicy, gdzie obecnie znalazł pomieszczenie miejski dom kultury. Składa się na ten obiekt nieźle wyposażona biblioteka, klubo-kawiarnia, kino i sala widowiskowa na 360 miejsc. Za sprawą teatrów objazdowych mieszkańcy miasteczka częściej oglądają ciekawe inscenizacje niż przeciętny, statystyczny łodzianin. Nie wystarcza im to zresztą, gdyż założyli teatr amatorski, który nie tak dawno wystawił „Grube ryby" Bałuckiego.

Kiedy się porówna zajęcia w praszkowskim Domu Kultury z tym, co się robi na przykład w łódzkich dzielnicach, Praszka nie ma powodów do wstydu. Tak samo jak na Bałutach czy Widzewie MDK w Praszce prowadzi naukę tańca towarzyskiego, tak samo uczy młodzież gry na instrumentach, tak samo organizuje kółka zainteresowań i odczyty.

Praszka jest rzadkim przykładem miasta, w którym baza kulturalna mocniejsza jest od bazy przemysłowej.

U PREZESA

W Prezydium MRN gorący dzień — posiedzenie. Ale prezes Anek znajduje chwilę czasu. O czym marzy prezes?

1. O odwierceniu w mieście studni głębinowej, która da wreszcie praszkowianom dobrą wodę;

2. O przyśpieszeniu obiecanej budowy zakładu wikliniarskiego;

3. O jakimś drobnym zakładzie dziewiarskim, który pomógłby rozwiązać problem niedostatku pracy dla kobiet;

4. O budowie nowego ośrodka zdrowia i przekazaniu budynku po starym na miejskie przedszkole.

Obecni przy rozmowie radni Siemienas, wynalazca i Łucki, dyrektor szkoły zawodowej potakują głowami. Mówią też o kolejnej sprawie z dziedziny marzeń — o budownictwie mieszkaniowym.

Czy będą to zawsze tylko marzenia?

KONRAD FREJDLICH

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKANOVA

Sienkiewicz w Czechosłowacji

Do rozważań na temat „Sienkiewicz w Czechach" przywiódł mnie przypadek. Oto przed kilku laty, tuż przed Bożym Narodzeniem, wyszła w przekładzie czeskim powieść „W pustyni i w puszczy". Doskonała okazja, by dzieciom zaprzyjaźnionej rodziny czeskiej zrobić miłą niespodziankę „na Jeziska" czyli „na Gwiazdkę". Niestety. Mimo, że książki szukałam natychmiast po ukazaniu się anonsu w prasie, nigdzie jej dostać nie mogłam. Rozeszła się z właściwością kryminałów: nie ukazawszy się niemal na półkach. Nie sprawił tego, jak się wkrótce przekonałam, przypadek, ani mały nakład. Po prostu podziałała magia nazwiska autora. Sienkiewicz jest bowiem w Czechach autorem wciąż niezwykle lubianym. W bibliotekach jego dzieła nigdy nie leżą na półkach, przeciwnie: spora kolejka czytelników zawsze czeka na któraś z jego powieści. Recepcja jego twórczości ma tutaj historię niemal równie długą, jak w Polsce i prawie tak samo zawiłą.

Pierwsze tłumaczenia i omówienia jego dzieł sięgają tu osiemdziesiątych lat ubiegłego wieku a toczone niemal do dziś ożywione spory na temat twórczości autora Trylogii świadczą, że nie był on w Czechach nigdy — i nie jest do dnia dzisiejszego — autorem martwym, którego znać wypada li tylko dlatego, że stał się swego czasu laureatem nagrody Nobla.

I w Czechach — jak w Polsce — twórczość Sienkiewicza stawała się czasem pretekstem do przeprowadzania rozrachunków pomiędzy różnymi ugrupowaniami ideologicznymi, dyskutowano i spierano się z nią, zmieniały się kryteria wartości poszczególnych dzieł. Jedno wszakże pozostawało niezmienne: fakt, że od lat stanowi ona chleb powszedni szerokich rzesz czytelników. Twórczość ta bowiem, osiągająca szczyty artyzmu językowego, przepojona w najlepszych dziełach ideą patriotyzmu, miłości ojczyzny zdolnej do wszelkich, choćby najwyższych poświęceń, była niezmiernie bliska narodowi, który w czasie, gdy się z nią zapoznawał, kontynuował uparta walkę o swe narodowe, językowe i literackie odrodzenie i który — podobnie jak twórca Trylogii — obracał się ku własnej przeszłości, by czerpać z niej siłę, naukę, inspirację dla aktualnych bojów o zachowanie, ożywienie i rozwój kultury narodowej.

Przeglądającego oceny pism Sienkiewicza zamknięte w stosach pożółkłych czasopism, uderza jeden fakt: brak jednolitego ujęcia tej twórczości, brak ustalenia jakichś kanonów wartościujących poszczególne utwory. Zaskakująca czasem rozbieżność zdań, w których coraz to inne dzieło okrzykiwano szczytowym osiągnięciem autora daje przecież świadectwo wielkości pisarza, obok którego nie można było przechodzić obojętnie, świadczy, że mieniąca się niezwykłym bogactwem twórczość Sienkiewicza stanowiła Se zam, w stronę którego zezowali pożądliwym okiem dosłownie wszyscy, bez różnicy przekonań politycznych, choć każdy inne wynajdywał w nim dla siebie skarby. Nie brak było przy tym przedziwnych pomyłek: niektóre poglądy nabierają dziś posmaku anegdoty. Tak na przykład klerykalny dziennik „Cech" z roku 1894 zarzucił Sienkiewiczowi, że w „Pójdźmy za nim" ukazał czytelnikowi postać Chrystusa — bez dogmatu, że Boga — uczłowieczył, że przedstawił go tak, jak go widzą ludzie niewierzący. Nie omieszkał też „Cech" kilka lat później przestrzec przed tłumaczeniem następnego utworu Sienkiewicza — „Quo vadis?", które zaczęło sobie zdobywać w tym czasie duży rozgłos. Ale szybko rosnąca sława utworu i zapewne odgłosy prasy światowej kazały rychło katolikom czeskim zmienić zdanie. Zresztą za tłumaczeniem dzieł polskiego pisarza zaczęły przemawiać i względy komercyjne. Nakłady pism Sienkiewicza szybko szły w górę. **Przeciętna beletrystyka w końcu XIX w. wychodziła w Czechach w ilości 1000—2000 egzemplarzy, zaś samo „Quo vadis" wyszło w 23.000 egzemplarzy, „Krzyżacy" (2 wydania) w 35.000, „Ogniem i mieczem" w w 180.000, „Pan Wołodyjowski" w 15.000 egzemplarzy.** Przy takich nakładach i przy cenie około 4 koron za tom prozy historycznej twórczość Sienkiewicza stawała się złotą żyłą dla wydawców. Nic dziwnego, że pomiędzy tymi ostatnimi dochodziło nieraz do zatargów, przy których, bywało, oberwało się i samemu Sienkiewiczowi. Kiedy np. wydawnictwo „Hejda i Tucek" chciało przełamać monopol dotychczasowego wydawcy Sienkiewicza w Czechach — Beauforta, publikującego go głównie powieści historyczne, zaanonsowało druk „Listów z podróży" w ten sposób, że usiłowało obrzydzić czytelnikowi twórczość historyczną Sienkiewicza, określając ją jako: „dzikie awantury", „niewiarygodne czyny", „rozwlekłą epikę", na którą skutecznym antidotum miały być świeżo wydane „Listy z podróży" „słynnego polskiego autora". Oczywiście zagrożony w swym monopolu Beaufort odpowiedział ostro, starannie maskując dążenie do wysokich zarobków, które mu firma konkurencyjna wytykała, płaszczykiem patriotyzmu i błogimi skutkami wychowawczymi, jakie historyczne utwory polskiego autora wywierały na czytelnika czeskiego (co zresztą było prawdą niewątpliwą).

Oddzielny rozdział w recepcji twórczości Sienkiewicza w Czechach stanowi jego obrona polskości. Naród czeski, który od białogórskiej bitwy wiódł bój o swą egzystencję narodową z narzucaną mu germanizacją, specjalnie na te problemy był uczulony. W tym świetle specyficznej wymowy nabiera fakt, że w latach dziewięćdziesiątych Marvka Hanyskova przekładając „Bartka zwycięzcę" przeniosła akcję na Śląsk, a z bohatera tytułowego uczyniła Morawianina.

Argumenty sienkiewiczowskie w obronie polskości pod zaborem pruskim odbiły się echem nawet w wiedeńskiej Radzie Państwa, gdzie poseł czeski Holansky przypomniał na posiedzeniu o germanizacji dzieci polskich na Śląsku i wezwał Polaków i Czechów do wspólnej obrony.

Zagraniczne łodzian wojaże

Samodzielna Sekcja Paszportów przy Komendzie Miejskiej MO, ul. Wlady Bytomskiej 60a.

Dzień w dzień, z wyjątkiem sobót, trwa tu nieustanny ruch interesantów. Stąd właśnie, jeśli można tak w przenośni powiedzieć, kilkanaście tysięcy łodzian rocznie rozjeżdża się we wszystkie strony świata. Tutaj udziela się informacji, tutaj się przyjmuje wnioski na zagraniczne wyjazdy, wydaje paszporty, wkładki do dowodów osobistych, poświadcza wnioski na wyjazdy służbowe do różnych krajów świata, podania na wyjazdy zbiorowe, przyjmuje paszporty po powrocie z zagranicy itp. itd Przez Samodzielną Sekcję Paszportów przewija się rocznie ponad 30 tysięcy petentów!

Spraw do załatwienia mnóstwo, personel nieliczny, więc tylko drogą dobrej organizacji pracy stworzono tu warunki do optymalnie sprawnej i szybkiej pracy Sekcji. Interesanci są zadowoleni, podkreślają rzeczowe załatwianie spraw, uprzejmość i kulturę pracowników.

Na ogół niewiele wiemy o funkcjonowaniu tej ważnej komórki w organizmie naszego wielkiego miasta. Dokąd jeżdżą łodzianie? Jak często? Po co? Z prośbą o szersze informacje na ten temat zwróciliśmy się do kierownika SSP, ob. kpt. Tadeusza Salskiego.

— Czy zawsze macie tylu interesantów, obywatelu kapitanie, czy to tylko jakiś szczególny dzień?

— Tak, szczególny dzień... Że tak mało. Zawsze mamy znacznie więcej, a już w lecie po dwieście, do trzystu osób dziennie. Biorąc za podstawę rok 1965, liczba zagranicznych wojaży obywateli naszego miasta do Czechosłowacji, NRD, Węgier, Bułgarii, Rumunii i Jugosławii wzrosła o około 30 procent. W roku 1966, z dniem dzisiejszym włącznie, indywidualne podróże do krajów demokracji ludowej odbyło już 15.600 łodzian, w tym 2.500 wyjeżdżało na paszporty zbiorowe w ramach wycieczek, organizowanych przez łódzkie biura podróży.

— Czyli około 1.300 osób miesięcznie wyjeżdża z Łodzi w szeroki świat?

— Tak. Przeciętnie, bowiem są okresy większej i mniejszej częstotliwości wyjazdów zagranicznych.

— Jakie to są okresy?

— Lato — to najgorętsze dni pracy w sekcji, gdyż do KDL, to znaczy do krajów demokracji ludowej, gros łodzian wyjeżdża właśnie w lecie. W czerwcu, lipcu i sierpniu tego roku przyjmowaliśmy dziennie ponad sto wniosków o wyjazd i równocześnie wydawaliśmy około stu wkładek do dowodów osobistych, a ponadto około 30—40 paszportów zagranicznych. Notujemy dalszy wzrost liczby wyjazdów.

— Jak długo trwa załatwianie formalności?

— Do dwóch tygodni w okresie spadku natężenia ruchu, a do trzech tygodni w miesiącach szczytu wyjazdów. Idąc jak najdalej na rękę naszym petentom, całą procedurę załatwiania spraw ograniczyliśmy do niezbędnego minimum, niektóre załączniki uznaliśmy za zbędne, usprawniliśmy obieg dokumentów.

— Ilu łodzian wyjeżdżało do krajów zachodnich w bieżącym roku?

— Ponad dwa tysiące. Łącznie, do KDL i krajów zachodnich, wyjeżdżało w bieżącym roku ponad siedemnaście tysięcy mieszkańców Łodzi.

— Licząc średnio, plus minus, że jeden interesant przychodzi do was dwa razy, przez sekcję przewija się rocznie około trzydziestu tysięcy ludzi.

— Tak. Nie licząc poświadczeń na wyjazdy służbowe: bywają miesiące, że mamy ich 15—20 dziennie. Prowadzimy statystykę załatwianych spraw, więc podane liczby są zgodne ze stanem faktycznym.

— W liczby wierzę, ale w sytuacji tak wielkiej liczby petentów dziennie, dwutygodniowy termin załatwiania wkładek wydaje mi się — wybaczcie, kierowniku — nierealny.

— Przyjmuję to za miły komplement, bowiem terminów dotrzymujemy, co więcej — wyznaczamy petentowi konkretną datę odbioru dokumentu. A zresztą mam propozycję: sporo osób czeka po odbiór wkładek i paszportów zagranicznych. Porozmawiajcie z nimi...

— Chętnie.

○

— Bardzo przepraszam, jestem z redakcji „Odgłosów"; czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

— Proszę.

— Czy długo pani czekała na otrzymanie wkładki?

— Około dwóch tygodni.

— Na pewno?

— Ależ tak. Nawet powiem panu dokładnie: 26 października złożyłam wniosek z terminem odbioru wkładki w dniu 8 listopada.

— Czy jest pani zadowolona ze sposobu załatwienia sprawy?

— Tak. Pan, który wręczał mi wkładkę był bardzo uprzejmy. Udzielił mi wyczerpujących informacji.

— Dokąd pani jedzie?

— Do NRD, na zaproszenie.

— Dziękuję i przepraszam. Życzę miłej podróży. Czy pozwoli pani zamieścić w prasie swoje nazwisko?

— Naturalnie: Zofia Padzik.

○

Moja następna rozmówczyni nie zgodziła się na zamieszczenie w piśmie nazwiska w pełnym brzmieniu. Tylko imię i pierwsze litery nazwiska. Więc pani Wiesława Cz. z Łodzi:

— Jadę do Austrii na zaproszenie, na miesiąc. Wniosek na paszport zagraniczny złożyłam 29 października, dziś go otrzymuję. Nie mam żadnych zastrzeżeń. Wprost przeciwnie, załatwiono mnie bardzo uprzejmie.

○

Również pani Celina Dolewka z Łodzi podkreśla rzeczowe, szybkie i bardzo uprzejme załatwienie wniosku o wyjazd na Węgry:

— Proszę pana, to trwało czternaście dni; od 20 października do 3 listopada. Po odbiór wkładki przyszłam dziś, bo nie mogłam przyjść w oznaczonym terminie.

○

— Jak wypadł egzamin?

— Piątka. Plusu nie dodam, żeby was nie przechwalić, obywatelu kapitanie.

○

— Na jakich warunkach można wyjechać indywidualnie do krajów demokracji ludowej?

— Bez zaproszeń — do Bułgarii i na Węgry. Wyłącznie z zaproszeniami — do Czechosłowacji, NRD, Rumunii, Związku Radzieckiego i Jugosławii.

— A sprawy dewizowe?

— Osobom wyjeżdżającym do krajów naszego obozu, w których nie wymaga się zaproszeń, Narodowy Bank Polski wymienia złote — do wysokości 3.300 zł — na tamtejszą walutę. Zaś jadącym do krajów wymagających zaproszeń, NBP wymienia złote na tamtejszą walutę, do wysokości 1.300 zł. Wyjątek w tej grupie KDL stanowi Czechosłowacja i Jugosławia; w tym wypadku można wymienić złote na walutę czechosłowacką do wysokości 50 koron, a do Jugosławii — równowartość pięciu dolarów.

— Co można wywozić z Polski za granicę?

— Szczegółowe pouczenia w tym przedmiocie zawiera deklaracja celno-dewizowa, którą otrzymuje petent wraz z dokumentami podróży. Wiemy oczywiście, iż pewna, zresztą nieliczna część wyjeżdżających za granicę usiłuje nielegalnie przewieźć takie czy inne artykuły przemysłowe. Nieraz to się udaje. Tacy „turyści" narażają się na nieprzyjemne sankcje z zastrzeżeniem wyjazdów zagranicznych włącznie, a za większe przewinienia stają przed sądem. Ale przede wszystkim kompromitują nas w oczach naszych sąsiadów. Proszę sobie wyobrazić takiego „turystę", którego dosłownie odwija się z... koronek, albo takiego, który wiezie z sobą cały sklepik z kremem „Nivea"... A przecież przepisy celne są dość liberalne.

— Obok Samodzielnej Sekcji Paszportów, indywidualne wyjazdy zagraniczne załatwiają również łódzkie biura podróży?

— Tak, ale tylko do Bułgarii i na Węgry, gdzie nie obowiązują zaproszenia. Więc „Orbis", „Sports-Tourist", „Turysta", „Gromada", PZMot, i Biuro Turystyki Młodzieży „Juventur". Te same biura podróży są uprawnione do załatwiania wyjazdów wycieczkowych, zorganizowanych, odbywających się w ramach umów państwowych. Idąc petentom na rękę, z dniem 1 stycznia br. upoważniliśmy łódzkie biura podróży do poświadczania składanych tam wniosków na wycieczki zbiorowe i indywidualne. Wspomnę gwoli ścisłości, iż za świadczone usługi biura podróży pobierają pewną opłatę, zresztą korzystną dla petenta.

— Jakie papiery należy złożyć, żeby otrzymać wkładkę?

— Wypełniony kwestionariusz podaniowy, dwie fotografie dla celów paszportowych, bez retuszu, oraz znaczki skarbowe za 60 złotych. Kwestionariusz należy poświadczyć w biurze kadr. Przy składaniu tych dokumentów w Sekcji należy mieć przy sobie dowód osobisty i książeczkę wojskową.

W tym miejscu, za pośrednictwem „Odgłosów", zwracam się z apelem do naszych petentów, o staranne i bardzo czytelne wypełnianie kwestionariuszy. Dokładne pouczenie, jak go należy wypełniać, znajduje się na ostatniej stronie podania.

— Słowo o fotografiach. Te zdjęcia bez retuszu, co tu ukrywać!, są koszmarne. Mężczyźni znoszą to lekko i z humorem, ale kobiety postarzone o lat co najmniej kilkanaście złoszczą się okrutnie. Tu może dojść do buntu łódzkich kobiet, a kobiety to potęga. Obawiam się, że nie dość mocno wstrząsnąłem waszym sumieniem, obywatelu kapitanie?

— Ależ tak, do głębi. Ale to już wina fotografów. W wielu krajach świata już od lat wymaga się do tych celów fotografii nieretuszowanych, wykonane są jednak bardzo dobrze. Mam skale porównawczą, gdyż często je oglądam. Zresztą łodzianki są tak przystojne, że nawet najgorsza fotografia nic nie ujmie im z urody.

— No, no...

— Na jakich warunkach można wyjechać do Jugosławii?

— Na zaproszenie, albo na promesę dewizową, którą wydaje oddział II NBP, ul. Piotrkowska 74. Wystarcza wkładka do dowodu osobistego.

— Jaka jest procedura wyjazdu do krajów zachodnich?

— Wszystkie wyjazdy prywatne załatwia wyłącznie Samodzielna Sekcja Paszportów. Podstawą do ubiegania się o wyjazd jest zaproszenie imienne, poświadczone przez polski konsulat w danym kraju zachodnim, względnie przez notariusza lub władze miejskie czy policyjne. Poza tym dokumenty, stwierdzające pokrycie kosztów podróży. Oczywiście są one różne, w zależności od środka lokomocji. Do wyjazdu uprawnia paszport zagraniczny.

— Ile czasu czeka się na otrzymanie paszportu?

— Na wyjazd czasowy — około dwóch miesięcy, na stały — około czterech. Dodam od razu, iż okres nasilenia wyjazdów do krajów kapitalistycznych trwa od marca do września.

— Jaką tendencję wykazują wyjazdy do krajów zachodnich?

— Stabilizację z niewielką tendencją do wzrostu.

— A do KDL?

— Stały wzrost o około 30 procent rocznie.

— Do jakich krajów demokracji ludowej wyjeżdża najwięcej łodzian?

— Przede wszystkim do Związku Radzieckiego i NRD — na zaproszenia, następnie do Jugosławii, na Węgry i do Bułgarii w ramach turystyki.

— Czy sekcja załatwia wyjazdy zagraniczne mieszkańców Łodzi i województwa łódzkiego?

— Tylko mieszkańców Łodzi. Sprawy petentów z województwa załatwia Samodzielna Sekcja Paszportów dla województwa, mieszcząca się w Łodzi przy ul. Gdańskiej 75.

— Ostatnie pytanie: skład socjalny starających się o wyjazdy zagraniczne?

— Do Jugosławii, turystycznie — lepiej sytuowana inteligencja pracująca, oraz ludzie ze środowisk twórczych, przeważnie dysponujący własnym środkiem lokomocji. Węgry i Bułgarię odwiedzają turyści o różnym przekroju socjalnym, jednak większość stanowi również inteligencja pracująca.

Dodam na marginesie, iż notujemy interesujące zjawisko: siedemdziesiąt procent wyjeżdżających za granicę, zarówno do KDL, jak i do krajów zachodnich, stanowią kobiety!

Notował: WŁ. STOKOWSKI

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII ZESPÓŁ DZIELNICOWEGO DOMU KULTURY — BAŁUTY

Nic dziwnego, że w kraju tak uczulonym na sprawy germanizacji specjalnie wysoką rangę zyskiwała sobie powieść „Krzyżacy". Omówienia powieść ta doczekała się już niejako „na gniu", w momencie, gdy polska publiczność nie poznała jej jeszcze w całości (pierwodruk „Krzyżaków" ukazywał się w „Słowie" w odcinkach). Autor wypowiedzi, F. Sekanina, dostrzegł w powieści historyczna kontynuację „Quo vadis": o ile ta ostatnia ukazywała narodziny idei, o tyle „Krzyżacy" są dowodem jak pod tą ideą przemyca się zbrodnię.

Wysoka ocena „Krzyżaków" utrzymała się w Czechach do dni ostatnich. W okresie tzw. „minionym" była to właściwie jedyna powieść, która rehabilitowała Sienkiewicza „syna i chwalcę warstwy szlacheckiej". Przypisywanie zresztą tej właśnie powieści wysokich walorów poznawczych, ideowych i artystycznych było w najzupełniejszej zgodzie z prawdą obiektywną.

Przy omawianiu historycznej twórczości Sienkiewicza krytykom czeskim narzucała się niejako automatycznie konieczność porównania autora „Trylogii" ze współczesnym mu twórcą czeskich powieści historycznych Alojzym Jiráskiem. Przez dłuższy czas nawet utrzymywał się pogląd, że Sienkiewicz wywarł bezpośredni wpływ na powstanie niektórych utworów Jiráska, czemu ten ostatni publicznie zaprzeczył, podkreślając jednak przy tym inspiracyjna rolę literatury polskiej w swej edukacji oraz w obraniu takiej a nie innej drogi życiowej. Krytykę czeską zresztą bardziej korcił inny problem, nie tyle czy i co Jirásek od Sienkiewicza brał, ile: który z pisarzy jest lepszy, który wierniejszy prawdzie historycznej. Takie postawienie problemu pozwalało niejednokrotnie wypominać Sienkiewiczowi jego nacjonalizm, apoteozę szlachty, brak tła ludowego w jego utworach itp. błędy, których i krytyka polska od Prusa czy Stanisława Brzozowskiego poczynając, znajdowała u niego wiele. Z tych porównań Jirásek wychodził często jako pisarz lepszy, bo choć ustępował może jako malarz bitew, czy twórca żywej akcji, górował za to w odzwierciedleniu epoki od strony kulturalnej i społecznej. (Tak właśnie sprawy te stawia F. Sekanina w długim nekrologu Sienkiewicza z 1916 r.). Inaczej natomiast — i chyba najsprawiedliwiej ocenił obydwu pisarzy Zdeněk Nejedlý już w r. 1901 w swym studium o Jiráksku. Dostrzega on bowiem dwa nurty powieści historycznej: romantyczny, którego reprezentantem jest Sienkiewicz i realistyczny mający swego przedstawiciela właśnie w Jiráksku.

Obok przytoczonych wyżej poglądów trafiały się i wypowiedzi, które windowały Sienkiewicza wysoko ponad Jiráska. Wyszły one z kół katolickich, które niejednokrotnie swych początkowych ostrzeżeń przed Sienkiewiczowym wolnomyślicielstwem, nabrały do niego wyjątkowego upodobania zwłaszcza w latach dwudziestych, wykorzystując katolicyzm jego utworów w rozwijanej w tym czasie własnej ofensywie ideologicznej.

W dziejach recepcji Sienkiewicza w Czechach wyśledzić można dwie wyraźne linie: pierwsza to równomiernie rozwijająca się, trwała linia zainteresowań czytelniczych twórczością pisarza, który w końcu XIX w. był najbardziej poczytnym autorem w ogóle, druga — to historia omówień jego prac, a więc linia krytyki. Ta druga wykazuje różne zachwiania, okresy wzrostu i malenia zainteresowań Sienkiewiczem. Momenty szczytowe tym zainteresowaniom wyznaczały wypadki związane z autorem „Trylogii" bezpośrednio, a więc w r. 1901 — 25-lecie jego pracy pisarskiej, w r. 1911 wiadomość o rzekomej śmierci Sienkiewicza (kiedy pisarz uległ wypadkowi na polowaniu) znów dała okazję do licznych wystąpień na jego temat. Śmierć pisarza, choć znalazła się jakby w cieniu śmierci cesarza Franciszka-Józefa, spowodowała ukazanie się nekrologów, w których usiłowano ocenić twórczość Sienkiewicza i wyznaczyć mu miejsce wśród pisarzy Polski i Europy.

Punkt szczytowy w rozwoju zainteresowań krytyki twórczością Sienkiewicza stanowił rok 1924, kiedy sprowadzano zwłoki pisarza do Polski przez Czechy. Uroczystościom uczczenia pamięci pisarza sprzyjały i warunki obiektywne: czasowe polepszenie stosunków polsko-czeskich. Obok wystąpień oficjalnych, na które ten ostatni fakt miał swój niewątpliwy wpływ, pisma ówczesne notują spontaniczny udział tłumów ludności witających i żegnających trumnę pisarza na stacjach. **W ten sposób naród czeski — niezależnie od koniunktur politycznych — dawał wyraz swej wdzięczności za wspaniałe karty poświęcone problemom odwiecznym: miłości, przyjaźni i wierności, za postawę patriotyczną Sienkiewicza, która była wzorem i dla Czechów, za wskazania wreszcie, jak pracować „ku pokrzepieniu serc".**

Lata dwudzieste wniosły pewne novum do dotychczasowych wystąpień krytycznych: od tego czasu zaczęli się Sienkiewiczem zajmować już nie tylko przygodni publicyści, czy tłumacze, ale i historycy literatury: J. Horák, F. Wollman, J. Máchal, J. Becka, K. Krejci. Na specjalną uwagę zasługują zwłaszcza prace prof. Krejčiego, świetnego znawcy literatury polskiej. W cyklu audycji radiowych z r. 1946, w przedmowach do powojennych wydań „Krzyżaków" i „Quo vadis", czy wreszcie w swej czeskiej „Historii literatury polskiej" dał nowe ujęcie Sienkiewicza, ukazując jego twórczość jako całość, w której granice między poszczególnymi grupami utworów mają często charakter formalny. Podważył m. in. tradycyjny podział przeciwstawiający powieściom historycznym Sienkiewicza — jego utwory o charakterze obyczajowym, wykazując, jak bardzo bliskim krewnym Skrzetuskich i Podbipiętów jest Bartek Zwycięzca, ofiarny bohater, który jednak na skutek uwarunkowań społeczno-politycznych otrzymywał w wyniku swego działania nie radość zwycięstwa, nie piękno szlachetnej ofiary w imię idei — lecz gorzkie rozczarowanie.

Współczesna krytyka czeska więc po latach milczenia w okresie wojny, kiedy słowo „Polska" było słowem zakazanym, po okresie zdarzających się, jednostronnych, krzywdzących ujęć w latach tzw. kultu jednostki — **przyznaje dziś Sienkiewiczowi należne mu miejsce, podnosząc artyzm jego utworów, nie zamykając oczu na konserwatyzm pewnych jego poglądów, ale podkreślając jednocześnie wciąż żywą i oddziałującą nieodmiennie od lat funkcję patriotyczną jego utworów.** W konfrontacji z takim ujęciem Sienkiewicza wcale nie przesadzone zdaje się być słowa jednego z najwiekszych poetów czeskich Jarosława Vrchlickiego, który w r. 1901 napisał wiersz ku czci Sienkiewicza. Określił on wówczas twórczość pisarza jako „ryzi cise vina" — „szczerozłotą czarę wina", z której starzejąca się Europa czerpie nie tylko pamięć swych młodych lat, pamięć przeszłości Polski, ale i gorzką prawdę o sceptycznej teraźniejszości.

STANISŁAW KASZYŃSKI

„Mocne uderzenie" albo o dzieciach naszego czasu

Czyżby wiele hałasu o nic? Och, nie! Powaga, z jaką ludzie dorośli, uzbrojeni w wyborne narzędzia badawcze, studiują problemy pokolenia startującego w życie, zastanawia i powstrzymuje od bagatelizowania. Materiały, zgromadzone w tym przedmiocie, i na Zachodzie i na Wschodzie, z pewnością jeszcze niekompletne, podsuwają tak bardzo niepokojące wnioski, że naturalne pytanie: co z nich wyrośnie? zaprząta od wielu lat armie nauczycieli, wychowawców, socjologów, lekarzy, działaczy. Także rodziców. Inna rejestracje, nie mniej obfita, za to bardziej sugestywna, od najdziemy w publicystyce, w literaturze, w teatrze. Prawdopodobnie sprawy młodzieży nigdy dotąd nie mobilizowały tyle piór, tyle instytucji — tyle mózgów. Toteż wszystko, co ma z tym choćby luźny związek, nabiera jakiegoś wyjątkowego znaczenia, często bez względu na wartość ustaleń.

Czy sytuacja usprawiedliwia to powszechne zainteresowanie? Czy popyt na problematykę młodzieżową nie jest po części wynikiem mody? Słowem — czy raz po raz rozlegające się alarmy ogłaszają stan faktyczny? Nie, obawy i niepokoje dorosłych nie zostały rozdęte. Ale w naszym „nie" mieści się i nadzieja, może też przekonanie, że potrafimy wyprostować ich drogi, przywrócić do refleksji, nakłonić ich do zajęcia postaw, które nam, doświadczonym, wydają się właściwe.

Z gestwy problemów wybieram chyba nie najważniejszy, raczej pochodny, który dotyczy samego mechanizmu powstawania literackich czy teatralnych zapisów tej problematyki. Oglądając — nie bez ciekawości — sztuki o młodzieży, bądź czytając utwory literackie jej poświęcone, a według pośrednich zapewnień „zawsze wzięte wprost z życia" — uderza mnie coraz częściej tożsamość lub bliskość ocen. Z reguły ocen negatywnych. Owszem — ten ujemny osąd nie jest nigdy jednoznaczny, bo autor (lub teatr) stonuje go czy przygłuszy, np. przez szlachetny postępek, niekiedy — uczciwą intencję bohatera albo grupy, co przecież w minimalnym tylko stopniu narusza nasze wątpliwości i nie przyczynia się do zmiany naszych poglądów: jakże oni są zepsuci, chorzy — straceni. Tak oto zrodził się schemat, stereotyp, fabrykowany już dzisiaj masowo; tak, nikt nie zaprzeczy, że składają się nań jakieś bystre obserwacje, pewnie i półprawdy, sedno tkwi w tym, iż stereotyp wchodzi w obieg i obowiązuje. A schemat jest tym zdradliwszy, iż posługuje się nachalnie konwencją czarną, z lekka tylko odbarwioną pstrymi kolorkami. Biografię takiego bohatera preparuje się diablo szczwanie, tak, jak to np. robi Ted Willis. Czy jego Steve White (S. Biały?) jest chłopcem dobrym czy chłopcem złym? Zarzuci mi ktoś — upraszczam kwestię. Jego rozstanie z Joy w scenie na wieży może nawet kogoś roztkliwić, może ktoś załkać: ach, jakże on zacny, ten Romeo z epoki big-beatu, a jakżeż nikczemnie oszukany i zdradzony! Teatr ubrał go w kurtkę, w wspomnianej scenie, nieznośnie ckliwej, Steve ma kołnierz wysoko podniesiony, co z daleka rysuje się niczym kołnierz romantycznego bohatera. Rehabilitacja? Tak. A przecież — tenże Steve ma na sumieniu niejedną sprawkę, która by najliberalniejszy człowiek rozpatrywał nie tylko według kodeksu karnego. W swym życiu, jak się dowiadujemy, kieruje się zgoła nieodpowiedzialnym imperatywem wewnętrznym — wierzy jedynie w siebie, w swój co tu wiele mówić — dość podejrzany kodeks moralny. To mu wystarcza, by buntować się przeciw wszelkim wartościom, odrzucać je stanowczo. I rozprawia się ryczałtem z całą cywilizacją i kulturą, co istotniejsze, nie proponując w zamian nic — nie — proponując, przypuszczalnie, własną moralność inteligentnego chuligana. Współczesny, może i absurdalny świat dorosłych, którzy jednak coś tworzą, staje się światem znudzonych smarkaczy, kabotyńsko celebrujących swe cyniczno-wisielcze obrzędy. Rozumiem: bardzo trudno pisać sztuki z atrakcyjnym programem pozytywnym, dlatego w tym kontekście wcale sensowne repliki Matki i George'a brzmią sztucznie, tyradowo. W rezultacie immoralizm całej tej „sfrustrowanej" kompanii został przez autora i teatr wzięty całkiem serio, ba — pobłogosławiony. Niegdyś za czasów ekspresjonizmu np. Wedekind beatyfikował prostytutkę Lulu, dzisiaj, pod bardziej wymyślnymi auspicjami, dokonuje się karkołomnej sztuki rehabilitacji „trudnych" dziewcząt i młodzieniaszków. Tak że niegdyś, bunt i negacja młodych nie stanowiły pretekstu do ekshibicjonistycznych wynurzeń, wprost przeciwnie: kwestionując czy drążąc porządek moralny czy społeczny, jeśli już wprost nie wskazywali na doskonalsze rozwiązania, nie konstruowali nowych zasad życia indywidualnego czy zbiorowego, szlachetniejszych czy tylko rozsądniejszych praw, to przynajmniej swoim myśleniem czy postępowaniem nadkruszali panujące wzory. Negować znaczy wymieniać, podstawiać w zamian, zmuszać do protestu. Zmuszać do protestu czytelnika, widza. Innego człowieka. P. J. Panasewicz radzi teatrowi, żeby „wpuścić prawdziwą młodzież na widownię". Prawdziwą co do metryki, czy prawdziwą na miarę Steve'a, Joy i pozostałych? Bardzo wątpię, czy w słabiutkim (m. in. i literacko) schemacie Willisa mieści się, poza banałami i krzyną wulgarności, seksem, subtelniejsza drobina myśli podważającej czy integrującej; czy czeka kogoś wstrząs, oczyszczenie? Stosujemy podwyższone miary, boć to sztuka (w intencji) wychowawcza.

Nie przeczę, zaiste, schemacik jest pociągający. I łatwy do ożywienia tym łatwiejszy, jeśli dostanie się w sprawne ręce takiego majstra od owego metier, jakim jest p. R. Sykała. Reżyser jest człowiekiem łagodnym i wyrozumiałym: wszystkim uwierzył. Zaufał przede wszystkim autorowi, ani myślał przeciwstawiać się temu, co on scalił w niezbyt zręczny sposób. A może taki zamiar był nie do przeprowadzenia na materiale dramaturgicznym, zestawionym przez adaptatora. Nie znam oryginału, nie umiem powiedzieć, co tutaj jest dziełem autora, a co adaptatora. Nie sądzę przecież, aby bądź co bądź doświadczony pisarz pozwolił sobie na takie łamańce, jak ten z Tajniakiem, który ustawicznie wymyka się spod kontroli, buszuje na niewiadomych papierach: raz jest zwyczajnym szpiclem, raz opiekunem społecznym, raz głosem sumienia bohaterów, kiedy indziej niedopuszczalnym w przyjętej konstrukcji portem parolem autora. Podobnie z zakończeniem, które wlecze się, nuży komplikowaniem dość prostej rekapitulacji; ale p. Sykała lubi takie zabawy. Całe szczęście, że p. R. Sobolewski wybornie spinał tę rwącą się tkaninę, był opanowany, chłodny, jedyna rozsądna postać w tej płytkiej — spłyconej — opowiastce na trzy akty. I jeszcze co do adaptacji: teatr powinien żądać od zestawiacza choćby krótkiej informacji na temat jego pracy, i tekst ten powinien znaleźć się w programie.

Pola Raksa i Janusz Kubicki w scenie ze sztuki „Mocne uderzenie".

Fot. Fr. Myszkowski

Powtarzam: reżyser nie dokonał korekty autorsko-adaptatorskich propozycji. A poza tym — tylko sprawdził, powtórzył tutaj większość swych wypróbowanych (często pożytecznych) środków: jak zawsze nienagannie wycieniował nurt obyczajowy, np. wręcz znakomita jest scena bójki w II akcie, w której czuje się otępiający klimat „ubawu" na butelki i mordobicia, podany na zmiennym rytmicznie podkładzie perkusji, i modulując zdarzenia w zależności od nastroju, raczej słusznie przygasił barwę seksualną. Na siłę natomiast usiłować dokopać się głębi, nie licząc zresztą na argumentację, tylko na „sympatyczność" bohaterów: niezawodny to środek w kraju, gdzie np. kobiety w tramwaju będą zasłaniać przed milicją ordynarnego pijaka. Jak widać, niezły to środek, aby uwznioślić (a i unicwinnić) każdego. A zatem wszystkie instrumenty musiały zagrać, gdyż i zespół aktorski doskonale pojmował myśl reżysera; w większości przeszedł bowiem przez „Pokój pełen dymu" i uporał się z zadaniem „Przed maturą". Zdał teraz egzamin dojrzałości? Aktorstwo, mimo wsparcia „mocnych uderzeń" słowa i... drzewa jest anemiczne, jakoś „naturszczykowate", czerpiące podniety i przykłady jakby ze źródła, od „nich". Ideał kopii, nawet w podobnych wypadkach, może okazać się błędny. Nie znam osobiście takich jak Steve chłopców, dlatego nie wiem, czy p. J. Kubicki, bardzo przystojny i znający swoje rzemiosło aktor, zsumował w tej postaci żywot i myśli wrażliwego rozbijaki... Ale był taki, jak go sobie wykoncypował i autor i reżyser: ukrywał dobroduszność pod pozorami chamstwa i cynizmu, był uparty w swym antyfilisterstwie, stojąc na koturnach dawał do zrozumienia, że jest sentymentalny i ckliwy. Mnie się zaś zdawało, że powinien być swobodniejszy, bardziej bezpośredni, prostszy. Bliższa tego była p. P. Raksa (Joy), która nie starała się filozofować, nie szukała ekstrawagancji. To jedna z wersji aktorki tzw. nowoczesnych dziewczyn. Czy aby nie za wiele teatr ją w tej dziedzinie eksploatuje?

Co sądzę o sztuce i spektaklu — wiadomo. Dałoby się coś więcej uratować? Może... Ja bym wprowadził więcej ładu i ciszy. Kraj „mocnego uderzenia" jest krajem pozorów, ogłupiający hałas jest tylko symbolem ich życia. Chciałbym ich zrozumieć, współczuć — nie, nie potrafię.

---

* Ted Willis, „Mocne uderzenie", sztuka w trzech aktach, przekład i adaptacja Kazimierz Piotrowski, reż. Roman Sykała, scenogr. Jerzy Groszang, prapremiera 28. IX. 1966.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Dwa tomy satyryczne

Regularnie dającym znać o sobie fraszkopisarzem łódzkim jest Jan Czarny. Ma on na swoim koncie przeszło tysiąc fraszek zebranych dotychczas w trzech zbiorach: „Fraszki" (1952), „333 fraszki" (1959), oraz w ostatnio wydanych „Fraszkach i antyfraszkach" *).

Rozpiętość tematyczna, jaką obejmuje fraszkopisarstwo Czarnego, jest duża. Fraszkę można by uznać za najkrótszy pod względem wielkości gatunek literacki, mający jednak przy tym zdolność obejmowania najszerszych płaszczyzn działalności ludzkiej oraz spraw związanych z człowiekiem. W formie dystychu czy czterowiersza fraszka potrafi niejednokrotnie ująć w lapidarny sposób rzecz, na temat której napisano całe tomy dzieł z zakresu filozofii, historii, etyki, etnografii czy — najogólniej mówiąc — antropologii. I kto wie, czy w „humorystycznym" traktowaniu tych spraw nie jest bliższa jedna rzeczy niż tamte nauki? Wszak „o rzeczach ironicznych należy mówić ironicznie" — jak powiada Cyprian Kamil. A fraszka mówi o życiu i człowieku...

Czarny, jak się wydaje, zdaje sobie w zupełności sprawę, że „prawdziwość" lub może lepiej trafność fraszki, mającej objąć tak bogate treści, wypływa właśnie z humorystycznego, a często z ironicznego widzenia świata i ludzi.

Większość fraszek z ostatniego zbiorku Czarnego ma charakter dystychu. Forma taka zbliża je raczej do aforyzmu niż do klasycznej fraszki. Fraszka Czarnego nie jest opisem zdarzenia czy sytuacji, ale dowcipnym wnioskiem, podsumowaniem sytuacji już zaistniałej. Jednocześnie Czarny potrafi zawrzeć w swoim dystychu zdarzenie, które go poprzedziło. Stąd właśnie bierze się ów aforystyczny charakter tej fraszki, stąd wynika doskonała precyzja sformułowań i lapidarność słowa. Oto charakterystyczny przykład, w którym wyżej wymienione cechy aforyzmu idą w parze z celnością obserwacji, gorzkim dowcipem i trafnością myśli:

„Wolność była zawsze od początku świata
inna dla ofiary, a inna dla kata".

Lub inna fraszka z tego samego kręgu tematycznego:

„Wolności przyczyny:
remont gilotyny".

Nie jest rzeczą dziwną, że zbiorek swój Czarny zatytułował „Fraszki i antyfraszki". Bo też nie mamy tutaj do czynienia z fraszką typową. Żartobliwie nazwanymi przez autora antyfraszkami można by nazwać większość tych utworów, w których w jakiś sposób dochodzi do rozbicia konwencji gatunkowej fraszki w kierunku aforystycznego epigramatu, myśli czesto niesfornej czy „nieuczesanej", w której o dryg walcza zawartość treściowa z mistrzostwem formalnym i warsztatowym. Oryginalność chwytów Czarnego wynika ze świadomości satyryka, że „wszystko, co madre powiedział już ktoś inny", że jedynie trafność dowcipu może uchronić utwór od banalności. Ale w jednej z antyfraszek Czarnego nawet i ta świadomość została skompromitowana w ironicznym przemilczeniu dystychu pod tytułem „Nowość":

„Wszyscy do walki
z banałem!
Gdzie ja to już słyszałem..."

Zupełnie odmienny charakter posiada ostatnio wydana książka **) innego łódzkiego satyryka — Jana Huszczy. Jest to właściwie przegląd dorobku satyrycznego Huszczy z ostatnich dwudziestu lat (jeden z utworów pochodzi nawet z r. 1936). Znajdują się tutaj również i fraszki, ale przeważają większe utwory satyryczne mające najczęściej charakter okolicznościowy, związane z najróżnorodniejszymi bolączkami 20 lat istnienia Polski Ludowej. Wiele z tych spraw, o których mówi Huszcza, jest już przebrzmiałych, są to bolączki niejako już „historyczne", ale chyba równie wiele spraw to rzeczy bynajmniej jeszcze nie zdezaktualizowane. Z historycznością niektórych utworów zdaje sobie sprawę sam autor, toteż drukuje on przy niektórych z nich ujęty w formie przypisu mały komentarz przypominający dawne sprawy, dawne wady i dawne zdarzenia, których dotyczy utwór. Często jednak ten rodzaj komentarza — zazwyczaj mający charakter autoironiczny — staje się okazją do przypomnienia rzeczy wciąż jeszcze aktualnych i egzystujących w naszej społeczności. Tak więc na przykład „komentarz" do satyry „O niektórych posiedzeniach i zebraniach", tzn. do tematyki będącej idée fixe utworów satyrycznych od czasów Gogola:

— „Jak wam nie wstyd wciąż o tym pisać?! — zawołał raz pewien działacz.
— A jak wam nie wstyd wciąż to praktykować?! — odpowiedziałem, wstydliwie opuszczając powieki na swoje nie bieskie oczęta".

Cecha charakterystyczna satyry Huszczy jest jednak coś innego. W jego utworach satyrycznych, zwłaszcza tych z okresu późniejszego — dochodzi bardzo często do połączenia elementów satyrycznych z lirycznymi. Symbioza ta jest realizowana w dwóch aspektach. Raz mamy do czynienia z wplecionymi do utworu autentycznymi dozami „liryzmu" czy „poetyckości": innym razem jest to niejako stylizacja na liryzm przybierająca niekiedy charakter pastiszowy. Tak jest na przykład w utworach z cyklu „Wiersze z podróży", w „Ogrodach warzywnych", „Zaproszeniu do modnej miejscowości", „Żartach" czy „Otpoczynieniu". Bardzo często utwory te stanowią subtelną parodię chwytów formalnych i treściowych stosowanych przez poezję współczesną.

Najciekawsze efekty artystyczne osiąga Jan Huszcza właśnie w tych utworach o delikatnej intencji parodystycznej na „poetyckość", gdzie subtelna ironia łódzkiego poety i satyryka przemieszana bywa często z autentycznym wzruszeniem lirycznym. Najbardziej charakterystyczne z tego cyklu były wydane przez Huszczę „Utwory wybrane Kaliksta Łasiczki" i żałować chyba należy, że tak mało wierszy z tego zbiorku zamieścił autor w omawianej tutaj książce, mającej przecież charakter reprezentatywny.

Charakter własnej twórczości satyrycznej Jana Huszczy znakomicie określić mogą przekłady z autorów obcych, z których wszyscy są w pewnej mierze pokrewni duchowo łódzkiemu autorowi, a więc będą to: Kozma Prutkow, Iwan Możajski, Piotr Weinberg, Wasyl Bogdanow, Kondrat Krapiwa, Maksym Tank i inni.

---

*) Jan Czarny: „Fraszki i antyfraszki", Wydawnictwo Łódzkie, 1966.

**) Jan Huszcza: „Żarty, Satyry. Fraszki", Wydawnictwo Łódzkie, 1966.

Pisarze o problemach literatury

STANISŁAW CZERNIK

LUDOWOŚĆ

Podejmując sprawę ludowości w literaturze, mimo woli staję u progu zasadniczego sporu nurtującego szczególnie silnie w naszych czasach, i oczywiście nie tylko u nas. Spór między autentycznością a uniwersalnością, spór rozległy i wieloznaczny, budzący mnóstwo sprzecznych poglądów i po prostu nierozwiązalnych problemów. Nie zamierzam stawać w środku tego sporu, kontrowersje zawsze będą istnieć, a życie i twórczość literacka potoczą się dalej, chociaż niejeden motyw z tych starć przylgnie do praktyki pisarskiej.

Wydawałoby się, że ludowość, jako zjawisko ograniczone i przestrzennie, i czasowo, powinna stanąć w tym sporze po stronie autentyczności. Ale to złudzenie i pozór. Nie każda ludowość bywa autentycznością. Nie każda autentyczność może być uważana za rzecz sprzeczną z uniwersalizmem. Często bywa inaczej lub odwrotnie. Te sprawy nie dadzą się załatwić jedną zdecydowaną formułą.

By uniknąć nieporozumień zaznaczam na wstępie, że używając wyrazu autentyczność nie chcę go utożsamiać z wyrazem autentyzm, który niezależnie od podobieństwa i pewnego pokrewieństwa wyrobił sobie w naszych dyskusjach literackich nieco odmienne znaczenie.

Z ludowością, w jej najogólniejszym pojęciu, wiąże się moja poezja, proza beletrystyczna oraz eseistyka, zwłaszcza w dziale folklorystycznym. Trudno byłoby powiedzieć, że przyszło to w wyniku stanowczego, świadomego, swobodnego wyboru. W pewnym zakresie — tak. Ale należy wziąć pod uwagę wiążące wpływy rodowodu i środowiska, z którego się wyszło, a więc oddziaływania podglebia psychicznego, uformowanego nie tylko przez współżycie rodzinne, ale — co może najważniejsze — przejętego podświadomie z nieuchwytnych przekazów pokoleniowych, równie silnych jak instynktowne impulsy. W tych okolicznościach trudno mówić o swobodnym wyborze postawy, jak trudno byłoby mówić o swobodnym wyborze koloru oczu lub kształtu nosa. Ale gdy nie ma bezpośredniego wyboru, ważna może być zgoda na to, co jest, i ta świadomość zastępuje wybór lub staje się z nim równoznaczna. To mój osobisty stosunek, który chciałem zaznaczyć.

Rozróżniam dwa ważne przejawy ludowości w literaturze. Pierwszy — to tematyka z życia ludu w celu zobrazowania spraw wiejsko-chłopskich w przeszłości lub teraźniejszości, tematyka powieści, poematów, dramatów. Zyskała prawo obywatelstwa od czasów Reja i Kochanowskiego. Tu może być mowa o ludowości w pisarstwie Mickiewicza, Kraszewskiego, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej, Wyspiańskiego, Żeromskiego, że ograniczę się tylko do naczelnych nazwisk, nazwisk bez domniemanych czy istotnych wpływów rodowodu. U nich właśnie podjęcie zaznaczonej tematyki było jak najbardziej sprawą wolnego wyboru. Dopiero w końcu XIX i w początkach XX wieku zjawiają się pisarze pochodzenia ludowego, którzy, podejmując tematykę wiejską, tak czy inaczej czuli się przypisani do „podglebia", jedni mniej, drudzy więcej zobowiązani wobec niego. Tu należy wymienić Kasprowicza, Orkana i Reymonta. Czasy nam bliższe dostarczają liczniejszych nazwisk, których nie pora tu wyszczególniać.

To jeden przejaw. Drugi — to nawiązywanie do folkloru, silniejsze niż u poprzedników próby włączenia go do warsztatu pisarskiego. Nie chodzi o odtworzenie lub naśladownictwo lecz ważny element poezjotwórczy.

Ludowość we współczesnej twórczości literackiej nie jest na ogół lubiana, niezbyt chętnie przyjmowana przez czytelników i krytyków. Dla czego? Może nie sprzyja jej czas przejściowy. Czytelnika typowo wiejskiego raczej drażni. Czytelnik typowo miejski nie interesuje się nią wcale. Czytelnik miejsko-wiejski, ten z najnowszego dopływu, pragnąc upodobnić się do nowego środowiska, unika jej, nie chce manifestować krępujących go związków rodowodowych. Krytyka też jej nie docenia, nie zawsze rozumie, co to jest temat ludowy. Jeżeli chodzi o prozę, zwrot do autentyczności wiejskiej (nie autentyzmu) oceniany jest jako prowincjonalizm. Aby uniknąć tego zarzutu pisarze starają się nadawać narracji nowoczesną formę podpatrywaną u pisarzy zachodnich, ale te zabiegi szkodzą autentyczności a nie przynoszą poszukiwanej uniwersalności.

U poetów — rzecz bardziej zawikłana. Mnóstwo obsesji i kompleksów przeżywanych bardzo silnie u tych wykorzenionych z dawnego, nie zadomowionych w nowym środowisku. Z jednej strony nostalgia, z drugiej narastające poczucie alienacji, nieraz stan niemal chorobowy. Prowadzi to do dramatów, nawet do tragedii.

Wierzę, że jest to okres przejściowy, który stopniowo powinien zanikać. Nie proponuję środków zaradczych, nie mieniając o sentencji — „lekarzu, sam siebie ulecz".

Mówiąc o ludowości pamiętam też o jej styczności z folklorem. I w tej okolicy mnóstwo wątpliwości. Nie namawiam do ściślejszych powiązań. Po prostu obawiam się fałszywego folkloryzowania. Obawiam się, że nie przemyślane kontakty, nie poparte poważnym studium przygotowawczym mogą wywołać serię banalności literackich. Może to próżna obawa. Jednak wiem, że 40 tomów „Dzieł wszystkich" Oskara Kolberga (a ma być razem 66) nie za bardzo dociera do księgozbiorów literackich. Bez wstępnych prac i badań twórcze współdziałanie literatury z folklorem — nie do pomyślenia.

Niemniej w tym zakresie pojawiły się ostatnio interesujące perspektywy. Zbliżmy się do nich poprzez problem archetypu. Archetyp — bardzo modny dziś u nas wyraz, chciałoby się powiedzieć, że za modny, gdy się zważy że psychoanalityczna teoria Junga znana jest w Polsce przeważnie z encyklopedii. Ale to inna sprawa. Archetyp — to zagadnienie symboliki sennej. Według teorii zapoczątkowanej przez Freuda, a rozbudowanej przez Junga, w umyśle ludzkim utajone są osobliwe pozostałości archaiczne, będące odwieczną spuścizną z okresów pradawnych. Przejawiają się przede wszystkim w postaci obrazów sennych, szczególnie badanych przez psychoanalizę. Pochodzenie ich nie jest znane — stwierdza Jung — zjawiają się zawsze i wszędzie na świecie. Te relikty przedwieczne zakorzenione w umyśle ludzkim od milionów lat, przybierają postać fantazmatów i symboliki sennej, bardzo ważnej w badaniach psychologicznych, chociaż teoria archetypów posiada wielu poważnych przeciwników (Adler).

Podobno w zabytkach folklorystycznych można się dopatrywać podświadomego oddziaływania archetypów, zwłaszcza w mistyczno-magicznych zaklinaniach i urokach, w mało znanych i zbadanych tajnych tekstach znachorów, wróżbitów, owczarzy, a nawet w zwyczajnych danajkach, dajneckach i innych piosenkach ludowych. Trudno przewidzieć, jakie to może mieć znaczenie dla dalszego rozwoju ludowości w literaturze. Na razie można tylko sygnalizować nowe możliwości.

ROBERT GLUTH

NIEWIELKIE KONWENCJONALNE PRAGNIENIE

Przyczajonym, żywicznym ogniem pachnie cały sklep: stos drzewa jest wysoki, każda wiązka sucha i rozgrzana. Zawsze, gdy tu przychodzę, przy żelaznym piecyku tkwi milczący, stary facet i coś tam majstruje. Reumatyzm przywiązał się do pani Haliny — zazwyczaj subtelny w mroźne dni, staje się natarczywy, jak tylko poczuje odwilż. Stary, milczący facet jest ojcem właścicielki. Kupuję tutaj świeże jajka i drzewo, którego nie można dostać w sklepie spółdzielczym. Jedna wiązka kosztuje złoty dwadzieścia. W poniedziałki biorę czternaście wiązek na cały tydzień.

Hałas w kuchni denerwuje moją żonę. Przypominam sobie o tym zbyt późno, rzucam drzewo na podłogę, obok skrzyni z węglem — i wchodzę do pokoju. W drzwiach mija mnie Dingo z takim wyrazem pyska, jakby coś zbroił. Nigdy jeszcze nie przywitał się ze mną normalnie, po psiemu. Napięty, nieufny, czujny. Przytył przez ten miesiąc, zmężniał, ale wewnątrz jaki był, taki jest.

Mieszka z nami dokładnie od miesiąca, bo znalazłem go 20 listopada, rankiem, w samym środku cholernego mrozu, na skwerze. Śmierć powiedziała, że ma coś do załatwienia w najbliższej kamienicy i za pięć minut wróci: czekał zwinięty w kłębek. Musiała potem mieć głupią minę, ale nie szukała, z pewnością machnęła ręką: a bo to jeden pies?

Dingo buduje dom: gdy tylko wymknie się do kuchni, zaraz biegnie w tamto miejsce między szafą i oknem, zastanawia się przez chwilę, i już znosi jakieś szmaty, kawałki tektury ze skrzynki, niezbędne elementy konstrukcji. Pewnego dnia przyszła kolej na drzewo. Teraz w poniedziałki przynoszę dwadzieścia wiązek. A czas płynie — znów minął miesiąc. Nie uprawiam wielkiej literatury, więc mogę sobie pozwolić na takie przeskoki. Z Dinga będzie niezły wilczur. Trochę kundlowaty. Stajemy z żoną przy oknie, zerkamy w bok, śmiejemy się, że Dingo buduje dom.

Napływają fale mrozu. Luty zbliża się do końca. Paskudna rzecz: zabrakło pieniędzy. Myślimy o sobie nawzajem: biedactwo kochane, gospodarne to ty nie jesteś. Kiedyś, parę lat temu, człowiek tracił humor z takich powodów. Co za idiotyzm.

Pierwszą wiązkę stamtąd wzięła Baśka. Na pewno. A może ja? Tak zimno się zrobiło, że trzeba palić codziennie, we wszystkich piecach.

Poznał od razu. Jest coraz bardziej nerwowy. Biegnie do kuchni i wraca. Biegnie i wraca. Przecież to także w jego własnym interesie — mówi Baśka. W piecach trzeba palić codziennie. Nie róbmy z siebie idiotów — powiadam. Też problem — psia buda! Widocznie mamy zbyt wiele czasu.

A on patrzy. Już spokojny. Patrzy.

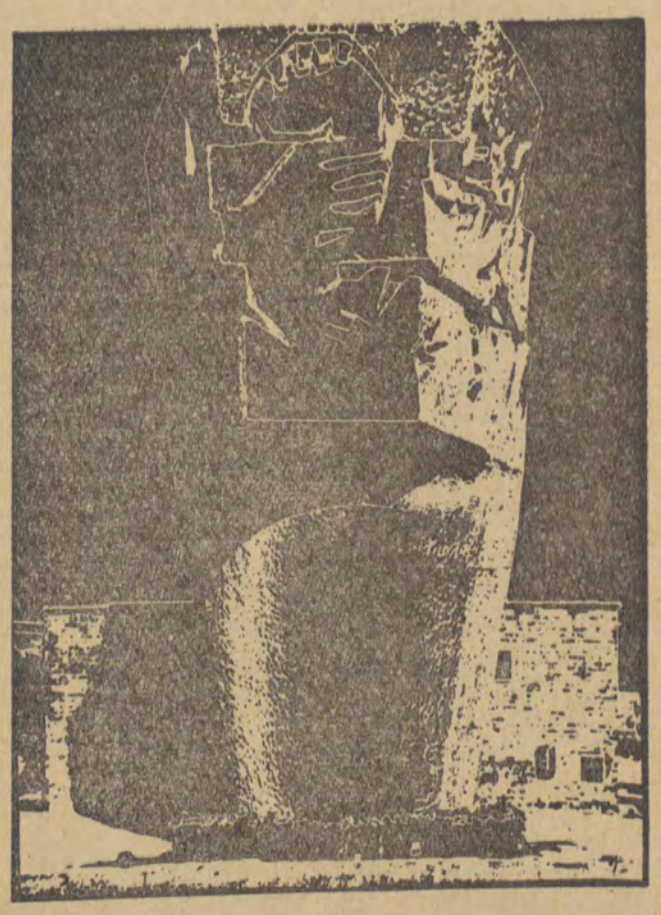

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII — JAN BARANOWSKI

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Smaki

Smak gwiazdy i kamienia, smak deszczu i śniegu
Czuję na podniebieniu, a poza tym smaki
Nocy, świtu, kobiety i kwiatów, i roślin.
Ja jestem obżartuchem, co pożera ziemię
I krajobrazy nieba, pocięte skrzydłami
Ptaków i samolotów, i chmurnych aniołów.
Smak jesiennego nieba jest owoców smakiem,
Jak gdyby niebo było jabłkiem zbłękitnionym.
Znam smak bolesny przyjścia, jak też smak odejścia
I smaki krwi i wina, światła i ciemności.
Ja jestem pożeraczem, jak też pożeranym
Przez ognie, co mnie trawią. Oto w moich ustach
Gwiazda się przetopiła w smak twych ust żarłocznych.

Ballada dzbanowa

Pamięci Bolesława Leśmiana, Juliana Tuwima i Wielemira Chlebnikowa.

Rozdzbaniły się dzbany pod dłońmi garncarzy.
Jak jest pięknie na ziemi, gdy dzban się wydarzy!
Wydarzy się, krągleje, wypukle dzbanieje,
Bo garncarze — dzbaniarze — słynni glinodzieje.
Dzbaniści aniołowie wtedy się zjawiają,
Co ulepione z gliny raje dobrze znają.
Dzbanowie z dzbanównami wtedy się całują
I wśród rajskich ogrodów ogniście dzbanują.
Jest ogień i jest glina, jest duch i są ręce,
Więcej ognia niż mroku i niż śmierci więcej,
A z gliny ptaki, ludzie, rośliny, zwierzęta,
O których pamiętliwa śmierć już nie pamięta
I których nie ocienia cieniem swej dąbrowy,
Bo sprzyja ich żywiołom kształtny bóg dzbanowy.

Sen

Przyśniła mi się wielka i pusta równina,
Na której tylko jedno żywe drzewo stało
I taki gigantyczny wokół cień rzucało,
Że mógłbyś sądzić: ziemia pod cieniem się zgina.

Nie było wokół roślin, tylko piach i glina,
Powietrze zaś jak gdyby przerażone drżało.
Wtem liśćmi i ich cieniem drzewo zaszumiało
I ujrzałem jak jakaś ręka cień odcina

Od drzewa. Potem drzewo rozłączone z cieniem
Skarżyło się tak gorzkim i głuchym skrzypieniem,
Że ptaki, co powietrze rozcinały lotem,

Litując się nad drzewem żałośnie skrzypiącym,
Przyniosły w swoich dziobach rozjarzonych słońcem
Skarżącemu się drzewu jego cień z powrotem.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Zofia Loren i Charlie Chaplin narysowani przez Kukryniksów.

ALBUM KUKRYNIKSÓW

■ W przyszłym roku ukaże się w radzieckim wydawnictwie „Iskusstwo" album satyryczny, pt. „Eto ja?", z rysunkami Kukryniksów i epigramami Aleksandra Raskina. Kukryniksy, to jak wiadomo, trójka rysowników-satyryków (Kuprijanow, Kryłow, Sokołow).

Album „Eto ja?", zawierać będzie portrety-karykatury wybitnych postaci ze świata artystycznego. Każdy taki portret opatrzony będzie krótkim satyrycznym wierszykiem Raskina.

ERAZM Z ROTTERDAMU

■ Pięćset lat temu urodził się jeden z najwybitniejszych humanistów Odrodzenia, filolog i filozof, holenderski uczony Erazm z Rotterdamu. I choć minęło już pół tysiąca lat jego dzieła jeszcze dziś zdumiewają swoją świeżością oraz pasją poszukiwania prawdy i rozległymi horyzontami myślowymi.

Erazm był dzieckiem nieślubnym. Jego ojciec, przeznaczony przez swych rodziców do stanu duchownego, nie mógł się żenić. Matka Erazma umiera, gdy chłopiec ma lat trzynaście. Oddany do klasztoru uczy się filo-

Erazm z Rotterdamu.

zofii i filologii. Po kilku latach opuszcza klasztor i rozpoczyna podróże po Europie. Obserwuje obyczaje, zaznajamia się z uczonymi, studiuje rękopisy greckie i łacińskie. Prawie całe życie Erazm z Rotterdamu spędził poza granicami rodzinnego kraju. Mieszkał we Francji, gdzie wydał zbiór mów autorów klasycznych, czym zdobył sobie niemałe uznanie, był w Anglii, gdzie zaprzyjaźnił się z młodym wówczas jeszcze angielskim uczonym Tomaszem More, autorem słynnej po dziś dzień „Utopii". Przebywał we Włoszech i w Niemczech. Pozostawił ogromną ilość prac, tłumaczeń z języków klasycznych i dzieł oryginalnych z dziedziny gramatyki, retoryki, filozofii oraz pisma satyryczne i pamflety. Występował przeciwko scholastyce, zwalczał nietolerancję religijną, ostro krytykował wojny. Erazm jest jednym z pierwszych myślicieli, którzy występowali z żądaniem, aby kobiety uczyć jakiegoś samodzielnego zawodu. W swych pismach satyrycznych, z których najbardziej znanym jest „Pochwała głupoty", dzieło pisane w rodzaju rozpowszechnionych w Niemczech utworów satyrycznych o głupcach, Erazm poddał krytyce wiele współczesnych mu instytucji, obyczajów i praw.

SUKCES AKCJI RATOWANIA ZABYTKÓW W NUBII

■ Eksperci z UNESCO podsumowali ostatnio osiągnięcia akcji prowadzonej w celu ratowania zabytków w Nubii. W roku 1960 na apel ogłoszony przez dyrekcję UNESCO szereg państw zgłosiło swój udział w tej kampanii. Po raz pierwszy w dziejach, różne narody z taką solidarnością i w takiej zgodzie przystąpiły wspólnie do ratowania pomników kultury. Jak wiadomo, chodziło tu o ratowanie świątyń i posągów na terenie Zjednoczonej Republiki Arabskiej i Sudanu, przed zalaniem wodami Nilu w związku z budową tamy assuańskiej. Należało zabezpieczyć owe pomniki na przestrzeni ok. 500 kilometrów wzdłuż Nilu. Znajdowały się tam m. in. dwadzieścia dwie starożytne świątynie, które trzeba było przenieść wyżej. Ze względu na gorący klimat grupy archeologów pracowały w niezwykle ciężkich warunkach. Świątynie musiano ciąć na kilkadziesiąt bloków z których każdy ważył ok. 20—30 ton i przesuwać je o 60 metrów powyżej dotychczasowego miejsca. Inną trudność stanowił fakt że niektóre z tych świątyń wkomponowane były w naturalne podłoże skalne. Mimo niezwykle uciążliwych warunków przeniesiono zabyt-

ki w bezpieczne miejsce i należycie zrekonstruowano. Ponadto wszystkie napisy, rzeźby, freski zostały zinwentaryzowane, opisane i sfotografowane. Pozostają jeszcze do zabezpieczenia zabytki położone między drugą i trzecią kataraktą Nilu, ale już na stosunkowo niedużym obszarze. Teren ten zawiera pomniki cywilizacji świadczące o starożytnych związkach kulturowych między Afryką Północną i Środkową.

Ponadto pozostaje do zabezpieczenia 8 świątyń na wyspie, na terenie Sudanu. Pewne towarzystwo holenderskie wystąpiło z projektem, aby nie przenosić tych świątyń w jakieś inne miejsce, ale wybudować system wodny składający się z odpowiednio ustawionych trzech tam, które utrzymywałyby wodę na właściwym poziomie i nie pozwalały na zatopienie wyspy. Roboty te kosztowałyby około 8 milionów dolarów. Pieniędzmi tymi UNESCO nie dysponuje, ale chce się zwrócić z apelem do narodów i ma nadzieję, że pieniądze te uzyska, a prace zostaną przeprowadzone nim wyspę pokryje woda.

ROBERT HOSSEIN O SOBIE

■ „Rozmawiamy po rosyjsku" — pisze na wstępie relacji z wywiadu

R. Hossein w filmie „Wampir z Düsseldorfu.

z Hosseinem, przedstawiciel czasopisma „Sowietskij Ekran".

Robert Hossein urodził się w Paryżu. Z wykształcenia i sposobu bycia jest Francuzem, ale pochodzi z rodziny w której matka jest Rosjanką, a ojciec Persem urodzonym w Rosji.

Robert Hossein jest aktorem, reżyserem teatralnym i filmowym, dramaturgiem, scenarzystą i poetą. Gdy Niemcy podczas ostatniej wojny wkroczyli do Francji uciekł piechotą do nieokupowanej części kraju. Tam dowiedział się później, że matkę nękało Gestapo szukając ukrywających się u niej partyzantów i że jej brat został zabity za uczestnictwo w ruchu oporu.

Po skończeniu wojny Hossein wydał drukiem wiersze i pamiętnik. Potem napisał sztukę sceniczną, wystawioną przez jeden z teatrów. Sztuka miała tytuł „Chuligani", a w głównej roli wystąpił sam Hossein. Napisał jeszcze cztery sztuki, z których jedna została adaptowana dla filmu. W filmie tym główną rolę zagrała Marina Vlady.

Nie sposób wyliczyć wszystkich sztuk scenicznych i filmów przy których pracował jako reżyser, aktor, czy autor. Reżyserował osiem filmów, aktorem był w dwudziestu. Role jakie dla siebie wybierał to przeważnie postacie o instynktach zbrodniczych lub szalone. Grał np.: „Wampira z Düsseldorfu".

MARINA VLADY O SOBIE

■ „Dopóki ktoś pyta mnie o moją karierę sceniczną opowiadam chętnie i dużo, jeśli zaś pyta o moje prywatne życie natychmiast milknę" — mówi Marina Vlady. „Pisano o mnie najrozmaitsze historie, wiem o tym. Ale w moim życiu nie ma nic pasjonującego. Najlepiej czuję się w swojej rodzinie, z rodzicami i moimi dziećmi".

Jak wiadomo Marina Vlady ma troje dzieci, dwóch synów z małżeństwa z Robertem Hosseinem i dwuletniego syna z małżeństwa z lotnikiem Jean-Claude Brouillet.

Znana aktorka gra obecnie w „Trzech siostrach" Czechowa.

EUGÈNE SUE PISARZEM — MARYNISTĄ

■ „Biedne dziewczęta z Saint-Tropez! Nie ma już nadziei, aby was wydarto z waszych rodzin, abyście płakały porwane przez podłych piratów i zostały odstawione, drżące, lecz i zaciekawione, do bram wspaniałych pałaców emira. I ciebie też trzeba żałować porcie Saint-Tropez. Bowiem nie ma już tych zwinnych statków o szkarłatnych banderach, które pływały po nieznanych wodach" — te słowa pisał Eugène Sue w roku 1832 w mało znanej powieści, pt. „Salamandra". Jest to powieść o morskiej tematyce, wydana ostatnio we Francji (wyd. Denoel) i jest pierwszą z serii „Bleu Océan" (Błękitny ocean) pod redakcją Jacques Barona, który pragnie spopularyzować literaturę marynistyczną.

„Na ogół nie wiemy o tym — mówi Jacques Baron — że Eugène Sue jest jednym z wielkich pisarzy-marynistów z XIX wieku".

Sue w młodości wiele podróżował statkiem będąc pomocnikiem chirurga. Morskie doświadczenia i przeżycia posłużyły mu do napisania kilku powieści o dramatycznych przygodach ludzi morza. I tak w roku 1830 ukazała się książka, pt. „Pirat Kernock", potem „Plick i Plock", „Atar-Gull", dwutomowa „Salamandra", w czterech tomach „La Cucaratcha", „Bocianie gniazdo na pokładzie Koatven", wreszcie autor zapalony wówczas marynista pisze pięciotomowe, nieukończone dzieło o historii marynarki i historii marynarki wojennej wszystkich krajów. Dopiero po tych marynistycznych zainteresowaniach pisarstwo Sue'go zwraca się ku tematyce z życia „wyższych sfer".

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
POLONIA		Widzów
ZACHĘTA	„Żołnierki", 28 seansów	11340 — 75%
	„Z piekła do Texasu", 35 spektakli	8510 — 80%
	TEATR	
NOWY	„Kowal, pieniądze i gwiazdy", 5 spektakli	3490 — 100%
MAŁA SALA	„Sen srebrny Salomei", 2 spektakle	1400 — 100%
	„Ojciec", 7 spektakli	1330 — 95%
POWSZECHNY	„Anioł na dworcu", 1 spektakl	680 — 100%
	„My fair lady", 2 spektakle	1320 — 100%
ROZMAITOŚCI	„Mocne uderzenie", 2 spektakle	1259 — 98%
7.15	„Czarownice z Salem", 3 spektakle	5525 — 85%
	„Taka noc nie powtórzy się więcej", 3 spektakle	1260 — 100%
OPERETKA	„Piekło Izabeli", 1 spektakl	420 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Fajerwerk", 7 spektakli	7018 — 90%
	„Bliźniak", 6 spektakli	1588 — 94%
FILHARMONIA	„Rewolwer", 7 spektakli	1943 — 98%
	2 koncerty symfoniczne	952 słuchaczy 72%

POLONICA

WITKACY W WIEDNIU, MROŻEK W SALZBURGU

W wiedeńskim teatrzyku piwnicznym (Atelliertheater) odbyła się ostatnio niemiecka prapremiera „Wariata i zakonnicy" S. I. Witkiewicza w znakomitym, jak zapewniają recenzenci, przekładzie Heinricha Kunstmanna, a w inscenizacji polskiego reżysera Jana Biczyckiego. „Die Bühne" (z października br.) wypowiada się z entuzjazmem zarówno o samej sztuce, jak i pracy nad nią teatru. Krytyk tego czasopisma szczególnie wysoko ocenił dramat polskiego pisarza, poprzedzając swą opinię obszerną notą biograficzną. Wskazał m. in. na to, że Witkacy tworzył swe groteski w latach, kiedy ani Ionesco ani Beckett nie myśleli jeszcze o pisaniu. Sztuka ta „...ma więcej soczystości i siły, więcej teatralnej substancji niż to, co dzisiaj się fabrykuje, wystawia i wysoko proteguje pod znakiem ochronnym „współczesnego manieryzmu". Zachwytu krytyka „Die Bühne" nie podzielili jednak jego koledzy-recenzenci z prasy wiedeńskiej. Na osiem omówień — jeden tylko zaaprobował całkowicie sztukę, jednak zakwestionował stanowczo jej wartość, zaś pozostali przyjęli ją z zastrzeżeniami. Natomiast czterech pochwaliło realizację, a czterech — wyraziło zastrzeżenia.

25 października br. weszła na afisz salzburskiego Teatru Kameralnego (Kammerspiele im Salzburger Konzerthaus) sztuka Mrożka „Policjanci" w reż. Ekkeharda Dittricha.

(S. K.)

„ZESPÓŁ AMATORSKI SCENY POLSKIEJ NA LITWIE

Wychodzący na Litwie „Czerwony Sztandar" w numerze z dn. 11 listopada br. zamieścił informację, że w obchodzonych niedawno na tych ziemiach dniach rocznicy Października, Kowieński Zespół Amatorów Sceny Polskiej wystawił nową jednoaktówkę pt. „Braterstwo broni". Autorem jej jest jeden z członków zespołu — Aleksander Czepowicz.

Akcja tej krótciutkiej sztuki rozgrywa się w ostatnich dniach II wojny światowej. Dużo miejsca zajmują pieśni i tańce ludowe.

Przedstawienie cieszyło się, jak podaje dziennik, dużym powodzeniem u widzów.

Nie od rzeczy będzie dodać, że Kowieński Zespół Amatorów Sceny Polskiej od dawna propaguje polskie sztuki sceniczne, przyczyniając się w ten sposób do propagowania naszej kultury w Republice Litewskiej.

(el)

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Zaległość z soboty: W Teatrze Nowym odbyła się premiera „Snu srebrnego Salomei" Juliusza Słowackiego w reżyserii Tadeusza Minca. Sztuka ta będzie reprezentowała Łódź na II Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, które rozpoczynają się 28 bm. Na tegoroczne Spotkania nasze władze kulturalne zaproponowały trzy pozycje: wyżej wymienioną oraz „Kaukaskie kredowe koło" Teatru Jaracza i „Mocne uderzenie" Teatru Powszechnego. War to przypomnieć, że w ubiegłym roku „barwy Łodzi" reprezentował „Galileusz" również Teatru Nowego, również w reżyserii Tadeusza Minca. To się nazywa prawo serii!

Jako, że premiery chodzą co najmniej parami, w niedzielę w Teatrze Jaracza — premiera „Namiestnika" Rolfa Hochhutha, w reżyserii Feliksa Zukowskiego. Sztuka poważna, publicystyczna, trudna w odbiorze. W dalszych rzędach słabo słyszalna z powodu wzmożonego (nawet jak na normy teatralne) szeleszczenia papierków od cukierków oraz trzeszczenia krzeseł. Widocznie intensywniejsza praca szarych komórek wymaga rekompensaty w postaci zwiększonych dostaw cukru.

PONIEDZIAŁEK

Do corocznych tradycji należą już gwiazdkowe kiermasze książkowe dla dzieci, łączone z wieloma atrakcjami w rodzaju Mikołaja - Mroza, loterii itd. Atrakcje te pomagają w odwróceniu uwagi od tytułów i niedostrzeżeniu, że nowości dla dzieci coraz mniej, a większość tytułów z roku na rok się powtarza. Zresztą dzieci rosną szybko i interesują się coraz to innym rodzajem literatury. Gorzej z dorosłymi.

A tymczasem „Dom Książki" zapowiada, że w tym roku zorganizuje nie tylko kiermasz dla dzieci, ale i dla dorosłych. „DK" dysponuje ponoć 23 tysiącami tytułów. Czy to dużo czy mało? Zależy. Od tytułów, oczywiście. W każdym razie będzie w czym poprzebierać i pogrymasić.

WTOREK

W Klubie Nauczyciela otwarcie wystawy prac plastycznych. 14 autorów przedstawiło około 80 prac olejnych, akwarel, monotypii i linorytów. Ekspozycja jest mniejsza niż w ubiegłym roku, kiedy 27 nauczycieli zaprezentowało 130 prac, zabrakło też całkowicie rzeźby, która w ub. roku przedstawiała się bardzo ciekawie. Ten mniejszy napływ prac spowodowany był prawdopodobnie onieśmieleniem wobec tematu tegorocznej wystawy: „Tysiąclecie Państwa Polskiego".

Prace są dziełem plastyków-amatorów (wśród wystawców jest zaledwie paru nauczycieli rysunku) część autorów uczęszcza do Ogniska Plastycznego, działającego stale przy Klubie. Ekspozycja pokazuje wiele interesujących pozycji jak np. prace St. Jóźwickiego, K. Florczaka i innych. Sporo ludowego autentyzmu zachowują niektóre linoryty J. Raczka, pochodzącego z Sądeczyzny i stamtąd czerpiącego tematy do swych prac. Prace nauczycieli łódzkich w ubiegłym roku wystawiane były na wystawie w Budapeszcie, w tym roku — w Berlinie i Paryżu.

ŚRODA

Nie można powiedzieć, żeby Ministerstwo Kultury rozpieszczało naszą Filharmonię w ogóle, a już szczególnie w dziedzinie wyjazdów zagranicznych. Po wielu latach oczekiwania i przyrzeczeń obiecano orkiestrze łódzkiej wyjazd do Braszov w Rumunii. Potem miejscowość tę zamieniono na Schwerin w NRD. Koło Schwerina jednak energicznie zakrzątnęła się Bydgoszcz i — Łódź została na tzw. lodzie. Tymczasem dyrektor Filharmonii Weimarskiej Gerhard Pflüger (który orkiestrą łódzką dyrygował kilkakrotnie) na własną rękę poczynił starania o przyjazd FŁ do Weimaru. Ministerstwo Kultury wyraziło zgodę zaznaczając, że pieniędzy na to nie da. Pomoc finansową obiecały władze miejskie i stąd, na razie w formie pogłoski, możemy Państwu donieść, że filharmonicy nasi wyjadą w początkach grudnia do NRD — z programem wyłącznie polskim.

CZWARTEK

W Warszawie odbyły się dwudniowe obrady IV krajowego zjazdu Zw. Zaw. Prac. Książki, Prasy i Radia, a więc pracowników instytucji najbardziej masowego przekazu w dziedzinie kultury. M. in. dyskutowano nad udoskonaleniem bazy materialnej i poprawa warunków pracy. Ze spraw interesujących nas osobiście mówiono o modernizacji i rozbudowie bazy poligraficznej, o poprawie zaopatrzenia w papier. A także o konieczności usprawnienia kolportażu szczególnie prasy centralnej, która np. do Katowickiego dociera po 24 godzinach. Żeby nie było niejasności — do Łodzi również. Bo z wyjątkiem „Trybuny Ludu" otrzymujemy dzienniki antydatowane, lub wydania terenowe, albo też jedno i drugie. A łodzianie woleliby wydania warszawskie.

Żeby sobie powspominać, to przed wojną wielu łodzian prenumerowało „Kurier Warszawski", który przychodził tu dwa razy dziennie, zawsze świeżutki i dzisiejszy. Chociaż pociągi jeździły wówczas trochę wolniej.

PIĄTEK

W wytwórni filmów krótkometrażowych „Semafor" ukończono nowy serial: „Klub Profesora Tutki" według opowiadań Jerzego Szaniawskiego. Seria składa się z pięciu 15-minutowych odcinków. Oryginalny ten pomysł podbudowany jest atrakcyjną obsadą aktorską. Prof. Tutkę odtwarza Gustaw Holoubek, jego partnerami są: K. Opaliński, H. Borowski i M. Pawlikowski.

Ku końcowi zbliża się również realizacja 13-odcinkowej serii rysunkowej „Przygody Otka", która wbrew pozorom przeznaczona jest dla dorosłych. Scenariusz napisali Eryk Lipiński i Antoni Marianowicz, scenografia E. Lipińskiego. Otek wędrując po historii satyrycznie komentuje niektóre jej wydarzenia i to wcale nie te najbardziej znane. Jak słychać będą to serie dla smakoszów-koneserów.

SOBOTA

Przez cały tydzień gość mi Zakładów Graficznych RSW Prasa byli drukarze niemieccy, reprezentujący najnowocześniejszą w NRD, ukończoną w ubiegłym roku drukarnię OSTSEEDRUCK w Rostocku: Heinz Niklaus (dyrektor), Rolf Spörcke (dyrektor ekonomiczny) oraz Wolfgang Hartmann i Karl Evert. Wizyta ta zapoczątkowała stałą współpracę pomiędzy obu drukarniami. Podpisany plan współpracy na 1967 r. przewiduje wymianę fachowców, wymianę doświadczeń, metod pracy i wniosków racjonalizatorskich, a w dziedzinie współpracy kulturalnej wymianę wystaw fotograficznych i innych amatorskich prac drukarzy. W I kwartale 1967 r. z Łodzi wyjadą do Rostocku trzej drukarze. Niemców interesuje u nas szczególnie offset i nasze doświadczenia w tej dziedzinie, mają oni bowiem zamiar tą techniką drukować również wszystkie gazety.

Niewątpliwie będzie to pożyteczna współpraca.

T. WOJ.

Kariera jednej gwiazdy

Alberto Sordi należy do najwybitniejszych i najpopularniejszych aktorów włoskich ostatnich lat. Dla publiczności zagranicznej stanowi uosobienie przeciętnego Włocha, jego zalet, a przede wszystkim wad. Nazwisko Sordiego w czołówce filmu przyciąga widzów całego świata.

W istocie droga życiowa Sordiego usiana była niepowodzeniami. Ale on mimo wszystko, pełen pasji i niewyczerpanych, zdałoby się, zasobów energii i siły walczył z losem, który nie szczędził mu zawodów i upokorzeń.

Urodził się 46 lat temu, na Zatybrzu, w dzielnicy rzymskich cwaniaków, w sercu prawdziwego Rzymu, tego, który omijają zagraniczni turyści, wędrujący śladem starożytnych zabytków i arcydzieł sztuki. Na Zatybrzu przechowały się jeszcze stare tradycje rzymskiego plebsu. Na Zatybrzu kwitnie humor i złośliwy dowcip. W wieku 16 lat Sordi porzucił jednak Rzym i przeniósł się do Mediolanu, ówczesnej stolicy przemysłu widowiskowego. Imał się najrozmaitszych zawodów. Był nawet liftboyem. I probował wśliznąć się do środowiska artystycznego. Debiutował w roku 1936 w czymś w rodzaju części „artystycznej" do seansu filmowego. Wygwizdano go okrutnie. Nie zrezygnował. Doszedł do wniosku, że świat widowiska, sceny, iluzji jest jego jedynym światem. Rozpoczął ciężką pracę w różnych objazdowych zespołach rewiowych.

Ale rewia, varieté stanowiły dlań tylko odskocznię. Celem najwyższych jego marzeń był film. Przez cała wojnę włóczył się po Cinecitta licząc na jakąś wielką okazję.

Na razie zadowalał się statystowaniem, podziwiając z daleka wielkie gwiazdy ówczesnego ekranu i zazdroszcząc im po trosze. Po wojnie znalazł zajęcie w dubbingu. Wyspecjalizował się w amerykańskim westernie. Użyczał swego głosu, o charakterystycznym rzymskim akcencie, dzielnym szeryfom i kowbojom. Czuł jednak, że dubbing to bagno dla aktora, bagno w którym łatwo ugrzęznąć na zawsze. Poszedł więc do radia, które w owej epoce cieszyło się ogromną popularnością. I po raz pierwszy w swym życiu odniósł sukces. Stał się radiowa „gwiazda". De Sica zaproponował mu by odtworzył na ekranie kreowaną w radiu postać. Film był zabawny ale nie zdobył powodzenia. Przez moment Sordi załamał się. Jego 15-letni wysiłek poszedł na marne. Zdruzgotano jego marzenia.

Wówczas na horyzoncie pojawił się Fellini i zaproponował mu rolę w „Białym szejku". „Alberto — powiada Fellini — posiadał ogromne poczucie godności osobistej, był zawsze gotów zaczynać od nowa. Nie wspominał nigdy o swoich upokorzeniach i klęskach. Był chyba świadomy wartości swego talentu i rozumiał, że w grę wchodzi tylko kwestia czasu. Potrafił nadać autentyzm postaci, a jego pomysły były znakomite".

Trzeba było jednak dopiero „Wałkoni", aby wszyscy jednogłośnie uznali, iż Sordi to nowy talent realistyczny i groteskowy zarazem. Od roku 1953 tedy rozpoczyna się wielka kariera pechowego aktora, zjawisko które on sam nazwał „moja eksplozja". Sordi gra i kreci nieprzerwanie. W ciągu 9 lat stworzył charakterystyczną postać obyczajowa przeciętnego Włocha, dbającego o pozory, lekliwego w stosunku do silnych i odgrywającego się na słabych, niedołężnego wewnętrznie, konformisty. Wykorzystał całe swoje nadzwyczajne zdolności obserwacji, swój świetny talent mimetyczny dla ukształtowania postaci, która rozśmieszając publiczność, zmuszała ją zarazem do doszukiwania się w tejże postaci własnego odbicia.

W latach 1961—1962 monopol Sordiego został nieco zachwiany. Pojawili się naśladowcy. Mówi znakomity reżyser Mario Monicelli — „Gdyby Sordi nie wymyślił 10 lat wcześniej pewnej charakterystycznej postaci obyczajowej takie filmy jak „Ape Regina", „Małżeństwo po włosku" itd. nie mogłyby nigdy powstać. Nowatorzy z konieczności muszą być kopiowani. Teraz Gassman i Tognazzi naśladują Sordiego wcielając się w identyczne postacie. A mają nad nim tę przewagę, że w oczach publiczności reprezentują urok nowej twarzy".

Rok 1962 znaczy więc początek pewnego kryzysu w życiu aktora. Musiał walczyć z konkurencja. Nadto odczuł, że postać jaka stworzył była już właściwie nieaktualna. Warunki „cudu gospodarczego" ukształtowały nowy typ przeciętnego Włocha. Sordi był w rozterce. Wiedział, że musi zacząć od nowa, wybrać jakaś nowa drogę, ale nie bardzo wiedział w jaki sposób to zrealizować. Zdecydował się jednak. Zerwał wiążący go kontrakt z De Laurentisem i postanowił zostać reżyserem.

Praca reżysera przywróciła mu dobry humor i wiarę we własne siły. Wieloletnie doświadczenie aktorskie okazało się bardzo pomocne. Pierwszy swój film „Londyński dym" nakręcił w ciągu 8 tygodni. Pracuje jednak bardzo dużo — 12, 13 godzin dziennie. Jednocześnie gra i reżyseruje.

Całe swe życie Sordi, mówiąc patetycznie, poświęcił na ołtarzu kina, na ołtarzu pracy. Nie ma właściwie życia osobistego. Jest samotny, nie utrzymuje kontaktów towarzyskich, nie bywa w tzw. świecie. Ma niewielu przyjaciół, nigdy nie wyjeżdża na wakacje. Jest w gruncie rzeczy bardzo poważny. Pasjonuje go wyłącznie praca, przedtem praca aktora, a teraz i reżysera. Zrezygnował dla niej z wszystkiego. I na tym chyba polega jakaś tragiczna wielkość tego człowieka, jego powodzenia i jego determinacji. „A także i jego monstrualności — dodaje Fellini — ponieważ jeżeli ktoś za bardzo utożsamia się ze swoją pracą, należy w istocie do przedziwnej kategorii stworzeń, kategorii monstrów".

Opracowała M.K.

KRONIKA Antytelewizyjna

SPRAWA SMAKU

Zdarzyło się i mnie napisać przed paroma laty humoreskę o dwóch zaprzyjaźnionych dostawcach szmiry. Uczyniłem ich m. in. autorami „liryczno-dowcipnego" przeboju:

Ukochany jest strażakiem
ciągle pędzi gdzieś z bosakiem,
nie żałuje swej sikawki
ni dla dachów, ni dla... trawki!
Aż mu czasem szepczę z rana:
czuję się poszkodowana!

Niewiele w tym było mojej inwencji. Piosenki i dowcipy, budzące najbardziej wulgarne skojarzenia, zawsze powstawały i miały swoich odbiorców. Nawet ta parodystyczna mogłaby wśród jakichś słuchaczy znaleźć życzliwe przyjęcie. Nie ma co się łudzić. Gratulował mi p. Maliniak i radził dalej kroczyć podobną drogą.

Nigdy mi jednak nie przyszło do głowy, że w sobotę 19. XI. w rozrywkowym programie, nadanym z Łodzi, usłyszę coś bez porównania bardziej jaskrawego — „piosenkę żołnierską" o różnych rodzajach broni. Wiadomo, że na prywatny niejako użytek powstają piosenki tego typu. Sam jako sztubak i jako żołnierz to i owo z upodobaniem śpiewałem razem z innymi. Ale zawsze śpiewało się to w poczuciu prowokacji, w poczuciu, iż się nie ma akceptacji społecznej. Nie śpiewaliśmy dla przysłowiowych milionów telewidzów.

Oczywiście, mam na uwadze program „Trzy tysiące sekund z Andą Kitschman". I, żeby nie było nieporozumień, nie zgłaszam pretensji do sędziwej autorki, p. Anny Marii Kitschman. Przecież zaprezentowano różne jej utwory, niektóre były do przyjęcia i wypadły dobrze, może też pominięto jakieś ciekawe. Pretensję zgłaszam do reżysera tych programów, p. Janusza Rzeszewskiego, który nie w tym jednym wypadku wykazał się nadmiarem złego smaku, niefortunnych upodobań.

A w dodatku chodzi nie tylko o smak, chodzi także o rozeznanie okoliczności, o świadomość zasięgu. Inaczej przecież będziemy rozmawiać z kumplem przy piwie, inaczej w szerszym gronie znajomych, jeszcze inaczej w obliczu większego audytorium.

Wracajmy jednak do owego smaku, pojęcia, niestety, mało uchwytnego w dokładniej sprawdzalnych kategoriach. Lubię posługiwać się „Słownikiem języka polskiego", więc i tym razem muszę sięgnąć po gruby tom, by w nim szukać pomocy. Gust to „poczucie piękna, harmonii, elegancji, wytworności, wykwintności; smak". Hm... Na dalszym miejscu gust to „upodobanie, zamiłowanie; ochota, pociąg do czego"...

W pierwszym wypadku mamy wartościowanie, w drugim rzeczowe określenie znaczenia wyrazu.

Można też o smaku estetycznym mówić jako o szczególnej zdolności emocjonalnego oceniania rozmaitych artystycznych przymiotów.

Dobry smak dotyczy nader różnych dziedzin. Najczęściej panie chwalimy lub ganimy za gust w ubieraniu się. Jest on związany z kulturą, prawdopodobnie w dużym stopniu wrodzony lecz zapewne i w jakimś stopniu dający się zdobyć, ukształtować. Kto nie ma gustu, lecz towarzyszy mu co do tego świadomość, szuka pomocy tych, co mają tę kategorię niejako skodyfikowaną. Ostatecznie wiadomo jakie kolory służą blondynce a jakie brunetce, jakie kroje sukien kobietom, tęgawym, a jakie szczupłym.

Podobnie i w innych dziedzinach, aczkolwiek sprawa staje się coraz bardziej kontrowersyjna, zaczynamy stąpać po śliskim gruncie. Wtedy mówimy o upodobaniach. Złych i dobrych, odznaczających się smakiem i brakiem tegoż smaku. Mówimy na przykład o upodobaniu do wulgarności.

W czasie audycji padło słowo frywolność. I znowu chodzi o wyczucie. Frywolność ma w pojęciu niektórych ludzi bliskoznaczniki: wulgarność, trywialność. Boy pisywał piosenki wcale nieprzyzwoite, ale były one właśnie frywolne, nie zaś wulgarne czy trywialne. Nie użyte pojedyncze słowo, nie nasuwające się z brzegu kojarzenia decydują, lecz kontekst.

Powoływano się na Kolberga. Nie mam w swojej bibliotece Kolberga, odnajduję jednak „Puszczę kurpiowską w pieśni", owszem, dużo w niej momentów frywolnych, słów dosadnych i rubaszności, co to jednak ma wspólnego z ową piosenką o rodzajach broni, którą wziąłem za przykład. A poza tym pieśń ludowa okupuje to wspaniałą prostota liryczną, której możemy sobie, poeci różnego kalibru i różnych umiejętności, życzyć. Otworzyłem książkę dosłownie na chybił trafił. Czytam:

A na tej lunce leszyna,
A pod leszyno dziwcyna,
Złociste włosy cesała,
I za nie rzywnie płakała.
Oj włosy moje złociste,
Służyłyście mi sowziście.
Już teraz służyć nie chcecie,
Pod biały strojek pudziecie...

Wymowne i zwięzłe, obrazowe i wzruszające!

Wyrządzono niefortunnym wyborem tekstów krzywdę p. A. M. Kitschman. Nie przysłużono się też sprawie wyrabiania

smaku u wielu telewidzów, choć właśnie praca w TV to działalność szczególnie odpowiedzialna...

W niedzielę z rana z zapasów archiwalnych wydobyto komedię filmową „Ada to nie wypada". Komedię, która jest dowodem na to, że nie wszystko w przeszłości kulturalnej było dobre. Nie wszystko zasługuje na pietyzm i przypomnienie. Bzdurne sytuacje, prymitywne gagi, ani jednego własnego dowcipu scenarzystów. Pokazanie tej komedii jest jednak usprawiedliwione: wydobyto ją z archiwum, niczego na nowo nie inscenizując.

Ale, kto wie, może właśnie w imię kształcenia gustu przydałby się odpowiedni drwiący komentarzyk, pozbawiony szacunku dla filmowego zabytku. Przydałyby się też nazwiska wykonawców, sam nie wszystkich aktorów potrafiłem zidentyfikować.

Jedno tylko jeszcze raz było zaskakujące: umiano wtedy nawet dla tak kiepskich, choć na pewno kasowych filmów pisać przebojowe piosenki. W „Adzie" znalazły się aż trzy!

Na zakończenie pragnąłbym zwrócić uwagę na felietony Artura Sandauera, ujęte w cykl „Nic świętego". TV pozyskała znakomitego krytyka, który przy tym umie mówić żywo i felietonowo, nie pretendując do roli augura.

Jan Huszczo

Łódź w fotografii

Za pomysł a przede wszystkim za jego realizację łódzkiemu Towarzystwu Fotograficznemu należy się bez dyskusji piątka z plusem. Ogłosiło ono bowiem w kwietniu br. ogólnopolski konkurs tematyczny „Łódź w fotografii". Impreza ta, organizacją której Towarzystwo Fotograficzne włączyło się w ogólną akcję obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego miała w swoich założeniach jeszcze jeden, niezwykle istotny moment. Chodziło mianowicie organizatorom o zebranie możliwie pełnej, wszechstronnej i różnorodnej pod względem tematycznym i artystycznym dokumentacji fotograficznej naszego miasta. Brak takiej dokumentacji nie raz i nie dwa dawał się dotkliwie we znaki prasie, wydawnictwom, ludziom zajmującym się z tej czy innej racji przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Łodzi. Plon konkursu stać się ma zaczątkiem archiwum fotograficznego systematycznie powiększanego i uzupełnianego. A przyznać trzeba, że plon jest imponujący. 64 autorów nadesłało 625 prac. Jury, któremu przewodniczył Edward Hartwig przyznało już nagrody, wyselekcjonowało 106 fotogramów na reprezentacyjną wystawę. Zostanie ona otwarta w styczniu przyszłego roku w Salonie Towarzystwa Fotograficznego. Tematyka nadesłanych prac, zgodnie z warunkami konkursu, obejmuje wszystkie niemal dziedziny życia miasta. Starą i nową architekturę, zabytki budownictwa przemysłowego i nowe zakłady produkcyjne, reportaże z imprez kulturalnych i wydarzenia o charakterze politycznym, twarze i sylwetki mieszkańców... Słowem, bogaty, współczesny, pełen autentyzmu i niewątpliwego uroku notatnik z podróży po mieście dzisiejszym i wczorajszym, wzbogacony różnorodnością twórczych interpretacji. Wyłania się z tej masy zdjęć wizerunek Łodzi niezwykle złożony, wielowarstwowy, soczysty i — wyznam szczerze — zaskakujący. Fascynuje wielość i jakość przemian, spraw dużych i małych, którymi żyje to miasto przecież tak specyficzne w swej strukturze, przecież pod wieloma względami niepowtarzalne. I wbrew pozorom i opiniom jak że częstym — piękne. Wielu z nas przebiegając codziennie w pośpiechu ulice tego miasta nie zauważa jego urokliwej architektury, konglomeratu secesji, stylu lat trzydziestych, bezstylowych budynków, które nobilituje czas. Obiektyw utrwala i wydobywa to piękno, nie jakieś wiecznotrwałe, ponadczasowe ale piękno powszednie dnia dzisiejszego.

Impreza wydaje się być tym bardziej udana, że ogólny poziom artystyczny nadesłanych prac jest stosunkowo bardzo wysoki, co dokumentom tym przydaje podwójną wartość. Należy życzyć Towarzystwu i wszystkim zainteresowanym aby to pierwsze łódzkie archiwum fotograficzne powiększało stale swoje zbiory o nowe i równie wartościowe pod względem artystycznym dokumenty. Aby nie przeoczyło żadnego zdarzenia, żadnego faktu z życia miasta, które warte jest zapisania w kronice. A chyba właśnie zapis na taśmie fotograficznej czy filmowej jest kroniką najbardziej współczesną.

ANDRZEJ GRUN

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII — JANUSZ WOLIŃSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Trzeci po „Rysopisie" i „Walkowerze" film Jerzego Skolimowskiego pt.: „BARIERA" wchodzi na nasze ekrany poprzedzony dość znacznym rozgłosem: na tegorocznym Festiwalu Filmowym w Bergamo zdobył Grand Prix. Oczekiwałam tego dzieła z olbrzymim zainteresowaniem. Skolimowski jest bowiem w naszej kinematografii zjawiskiem absolutnie wyjątkowym. Nie cieszył się dotąd co prawda uznaniem szerokich rzesz odbiorców. I ten film też zapewne nie przyniesie mu poklasku tłumów. Jego twórczość jest po prostu trudna, niezrozumiała dla większości widzów. Filmy Skolimowskiego zrywają całkowicie z tradycyjną formą dramatu kinowego: nie ma w nich tego, co przywykliśmy nazywać akcją, są tylko strzępy zdarzeń poukładane obok siebie. Skolimowskiemu nie chodzi bowiem o ukazanie jakiejś historyjki, będącej „kawałkiem życia" — opowiadającej o losach konkretnej jednostki i odzwierciedlającej wiernie fragment naszej rzeczywistości. Tego młodego twórcę frapuje przede wszystkim problematyka filozoficzna. Poszukuje on prawdy o współczesnym człowieku, stara się dotrzeć do wyznaczników ludzkiego bytu, rozszyfrować i obnażyć stereotypy, według których układamy sobie życie. A jednocześnie mając w sobie tyle pasji demaskatorskiej, wychwytuje te przelotne momenty, kiedy człowiek bezsilny i bezradny wobec otaczających go schematów, od których nie sposób się uwolnić, uchyli na chwilkę swojej maski i wtedy staje się jakiś bardziej „ciepły", osobisty, bardziej ludzki. Czasem może to być tylko jeden gest, tylko jedno spojrzenie, lub rzucone nagle zdanie. Tylko pozornie momenty te kłócą się z całością dzieła, z jego ogólnym tonem — nawet kiedy patrzy się na człowieka z dystansu filozofa lub zbuntowanego moralisty trzeba pamiętać o tej stronie ludzkiej osobowości. Takim właśnie filozofem i moralistą jest Skolimowski. Bohatera „Bariery" umieszcza w tłumie, każąc mu uczestniczyć w symbolicznym biegu do nikąd, chyba tylko do śmierci, której zawoalowany motyw przewija się przez cały film. I choć słychać ciągle powtarzające się jak refren w pieśni towarzyszącej obrazowi „Alleluja", Skolimowski każe nam pamiętać, że człowiek nie zmartwychwstanie. W sensie dosłownym i metaforycznym: tak jak nieodwracalna jest śmierć fizjologiczna, tak nie ma odwrotu proces obumierania człowieczeństwa w jednostce z gatunku homo sapiens. Zbyt wiele „barier" dzieli dziś ludzi od siebie. Można udawać, że ich nie ma, można ich nawet nie dostrzegać, ale nie sposób się od nich uwolnić. Zagłada osobowości, indywidualności? Niemożność porozumienia się ludzi między sobą? Te pytania stawia przed sobą i odbiorcami Skolimowski. Ukazując człowieka i kształtujące go wpływy, warunki, społeczne układy twórca „Bariery" zaskakuje jednocześnie świeżością spojrzenia na otaczający nas świat, potrafi znakomicie wydobywać i wyrywać jego paradoksy, szokować widza oryginalnymi skojarzeniami i bardzo specyficznym poczuciem humoru. Ów humor, to chyba jedna z najmocniejszych stron filmu — mamy tu całą bogatą gamę jego różnorodnych odmian: od bardzo subtelnego, aż do lirycznego, przez sytuacyjny — jak z rysunków w czasopiśmie, przez absurdalny lub dobrotliwie krytyczny — aż po jadowitą ironię. I jeszcze jedna atrakcja „Bariery" — wyjątkowo piękny, ciekawy, niebanalny obraz.

„Bariera" powinna cieszyć się uznaniem — bez względu na to, czy aprobuje się treść filmów Skolimowskiego, czy też ją odrzuca. Jest to bowiem jedyne polskie dzieło ostatniego okresu, które dotrzymuje kroku awangardzie światowej, które nie wlecze się w „szarym ogonie" kinematografii, którego twórca naprawdę ma coś do powiedzenia i chce powiedzieć odbiorcom. Niech pamiętają o tym i ci, którzy nie lubią tego rodzaju filmów.

MARIAREL

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O. HENRY

PO DWUDZIESTU LATACH

Miał dziś obchód i przechadzał się ulicą z poczuciem władzy. Dochodziła zaledwie dziesiąta wieczorem, lecz mroźny powiew wiatru z deszczem wyludnił ulice.

Raz po raz wymachiwał policyjną pałką, przystawał przed zamkniętymi drzwiami sklepów, to znów odwracał się do tyłu, uważnie lustrując ulicę. Tu i ówdzie błysnęło światło z jakiegoś sklepu, czy nocnego lokalu, jednakże większość gmachów była pogrążona w ciemnościach.

Nagle, będąc niemal w połowie drogi do następnej przecznicy, policjant zwolnił kroku. W drzwiach pogrążonego w ciemnościach sklepu z artykułami żelaznymi stał jakiś mężczyzna, trzymając w ustach nie zapalone cygaro. Gdy policjant zbliżył się do niego, mężczyzna, jakby się usprawiedliwiając, powiedział:

— Wszystko w porządku, sierżancie. Czekam właśnie na swego przyjaciela. Jest to spotkanie, na które umówiliśmy się dwadzieścia lat temu. Brzmi to może trochę śmiesznie ale niech mi pan wierzy wszystko jest w porządku. Dość dawno temu tutaj gdzie jest teraz ten sklep była niegdyś restauracja, restauracja wielkiego Joe Brady'ego...

— Zburzono ją pięć lat temu — przerwał mu policjant.

Nieznajomy mężczyzna potarł zapałkę i zapalił cygaro. W świetle płonącej zapałki policjant zobaczył jego bladą, kwadratową twarz, z wysuniętym podbródkiem. Tuż nad prawym okiem miał niewielką bliznę. W krawacie tkwiła diamentowa szpilka o dość dziwnym kształcie.

— Tego wieczoru — ciągnął nieznajomy — mija akurat dwadzieścia lat, jak jadłem w tym miejscu, w restauracji Joego, obiad z Jermmy Welisem, moim najlepszym kumplem i najwspanialszym facetem w świecie. Razem mieszkaliśmy w Nowym Jorku i zżyliśmy się jak bracia. Miałem wtedy 18 lat, a Jermmy 20. Następnego dnia miałem wyjechać na Zachód, żeby zrobić pieniądze. Jermmego w żaden sposób nie mogłem wyciągnąć z Nowego Jorku. Był przekonany, że jest to jedyne miejsce na ziemi, w którym żyje mu się najlepiej. Postanowiliśmy więc tamtego wieczoru, że spotkamy się tutaj, w tym miejscu, za dwadzieścia lat, dokładnie o tej samej godzinie, o której rozstaliśmy się. Bez względu, w jakich warunkach każdy z nas by się znajdował, i jak daleko bylibyśmy od siebie. Zgodziliśmy się, że jest to dostateczny okres czasu na zdobycie majątku.

— Brzmi to całkiem interesująco — powiedział policjant. Ale wydaje mi się, że jest to chyba zbyt długi okres czasu, jak na umówione spotkanie. Czy miał pan jakieś wiadomości o swoim przyjacielu?

— Ależ tak. Oczywiście, że miałem. Przez pewien czas prowadziliśmy korespondencję. Jednakże po roku, czy dwóch straciliśmy kontakt. Widzi pan, Zachód jest atrakcyjny i możliwości tam mnóstwo. Zakrzątnąłem się i powiodło mi się całkiem nieźle. Wierzę, że Jermmy przyjdzie na spotkanie, jeżeli, oczywiście, żyje. Był zawsze najwierniejszym i najbardziej oddanym facetem, jakiego kiedykolwiek znałem. Na pewno nie zapomni o tym spotkaniu. Przejechałem ponad tysiąc mil, żeby teraz, w deszcz i wichurę, czekać na niego w tych ciemnych drzwiach. Mimo to będę szczęśliwy, jeżeli go zobaczę.

Nieznajomy wyciągnął kosztowny zegarek.

— Za trzy minuty dziesiąta — powiedział. — Dokładnie o dziesiątej rozstaliśmy się, tutaj, w tym miejscu, przy wejściu do restauracji.

— Musiało się panu nieźle powodzić na Zachodzie — zauważył policjant.

— Owszem. Myślę, że Jermmemu nawet w połowie tak się nie powiodło. Był dobrym kumplem, ale zawsze życiową niezdarą. Musiałem twardo walczyć, żeby zdobyć to, co mam. W Nowym Jorku człowiek żyje według szablonu. Zachód łatwo by go wykończył.

— No, to ja już chyba pójdę — powiedział policjant. — Mam nadzieję, że pański przyjaciel niedługo przyjdzie. Długo ma pan zamiar czekać?

— Raczej nie. Najwyżej pół godziny. Jeżeli Jermmy żyje, przyjdzie na pewno. Dobranoc sierżancie.

— Dobranoc — odrzekł policjant i udał się w dalszy obchód.

Padał teraz zimny deszcz, a porywy wiatru zmieniły się w wichurę. Nieznajomy stał nadal, palił cygaro i czekał na przyjaciela. Minęło już dwadzieścia minut i oto nagle, po drugiej stronie ulicy, ujrzał wysokiego mężczyznę w płaszczu z podniesionym kołnierzem. Szedł prosto w jego kierunku, i za chwilę stał już przed nieznajomym

— Czy to ty, Bob? — spytał niepewnie.

— To ty, Jermmy Wells? — wykrzyknął człowiek w drzwiach!

— We własnej osobie — odparł przybysz. Byłem pewien, że przyjdziesz na spotkanie, oczywiście, jeżeli nie kipniesz. Dwadzieścia lat, to kawał czasu. Starą restaurację diabli wzięli. Szkoda, coś byśmy tu zjedli. Jak ci się powodzi na Zachodzie staruszku?

— Wspaniale! Zdobyłem majątek. Strasznie się zmieniłeś Jermmy. Nigdy nie sądziłem że jeszcze wyrośniesz o tych parę centymetrów.

— A tak, rzeczywiście trochę jeszcze wyrosłem.

— Jak ci się powodzi w Nowym Jorku, Jermmy?

Nieźle. Pracuję w jednym z tutejszych urzędów. Wiesz co, Bob, przejdźmy się trochę. Porozmawiamy sobie o starych, dobrych czasach.

Ruszyli ulicą, idąc tuż obok siebie. Mężczyzna z Zachodu opowiadał o swoich sukcesach, o majątku. Drugi słuchał z zainteresowaniem.

Po upływie kilku minut, mijając rzesiście oświetlony coctail-bar, Bob spojrzał na przyjaciela i stanął jak wryty:

— Pan nie jest Jermmy Wellsem — wykrzyknął ze złością. Dwadzieścia lat to kawał czasu, ale czas nosa nie zmienia! Jermmy miał nos rzymski, a pan ma nos mopsa! Pan...

— Dość — ostro przerwał nieznajomy! Dwadzieścia lat rzeczywiście nosa nie zmienia, ale to dostatecznie długi okres czasu, żeby porządnego człowieka zmienić w łotra. Od dziesięciu minut jest pan aresztowany, „atlasowy Bobie". W Chicago przypuszczali, że będzie pan w naszych stronach, więc uprzedzili nas. Chcieliby z panem porozmawiać o pewnych sprawach... Tylko spokojnie, Bob! Bądźmy rozsądni. Nim pójdziemy na stację, niech pan przeczyta tę kartkę. Doręczył mi ją policjant Wells... Może ją pan przeczytać tu, przy oknie. Pierwszorzędne światło.

Człowiek z Zachodu rozłożył kartkę i czytał:

Bob! Na spotkanie przyszedłem punktualnie. W świetle zapałki ujrzałem twą twarz, twarz człowieka poszukiwanego przez policję w Chicago. Nie mogłem cię aresztować, więc odszedłem i poprosiłem kolegę w cywilu, żeby zrobił to za mnie.

JERMMY

ZASŁYSZANE HISTORIE STAREJ i NOWEJ ŁODZI

PUSTELNIK i CZAROWNICA

Właściwie, to nie wiadomo, kiedy to było, gdy zdarzyło się w Łodzi pierwsze porwanie i morderstwo. Lasy spalskie, tomaszowskie, nieprzerwanym klinem łączyły się z lasami tuszyńskimi, a dalej z łagiewnickimi i lućmierskimi, szły, aż hen pod Łęczycę...

Wtedy to, jak opowieść łódzka głosi, na północnym wysokim brzegu rzeczki (płynącej sobie dziś spod Sikawy na Polesie) Łódki, w miejscu parku Staromiejskiego (popularnego Śledzia)... żył sobie w jakiejś jamie piaskowej — pustelnik. Taka była moda; za dość swawolne i pełne grzeszków życie — na starsze lata „rycerz" stosował dietę korzonkową, jagodową, grzybkową, czasem okraszoną nędzną łódzką plotką.

Dokonałby biedaczek, bogobojnego żywota w tej skarpie staromiejskiej, gdyby nie czarownica z łęczyckiego zamku! Tu szukają niektórzy przyczyny tej pierwszej tragedii łódzkiej w winie kobiety... jak zwykle zresztą bywa. Oto z rąk siepaczy księcia łęczyckiego, z grodziska czy zamku, ucieka młoda kobieta, podejrzana o czary.

Byłaby zginęła niechybnie z głodu i wyczerpania, gdyby nie pustelnik znad Łódki. On ją wziął pod swe opiekuńcze skrzydła i... razem dłuższy czas bogobojnie żyli. Lecz życie jest okrutne; któregoś wiosny po tropach leśnych — pachołkowie kniazia łęczyckiego dotarli do jaskini pustelnika i zażądali wydania jej w ręce prawa. Pustelnik nie chciał na to przystać, zaklinał się na wszystkie brody pustelników, że to niewiasta trochę nerwowa i narowista, ale gdzie jej do czarownicy... Nie dali mu wiary, dobyli dzid i mieczy. A gdy stanął w jej obronie — porąbali go na kawałki, a krew z jego ran trysnęła, zabarwiła jego starą od lat nieużywaną tarczę, stojącą w zakątku jamy.

I stąd, poniektórzy łodzianie dziś jeszcze gdy pokazują swym pociechom herby naszego miasta (złotą łódkę o wysokich brzegach na czerwonym tle) wymalowane na autobusach i tramwajach — mówią, że to tło czerwone herbu Łodzi właśnie ma pochodzić z krwawej tarczy owego pustelnika... Inni znów twierdzą, że to dopiero socjalistyczny magistrat łódzki trzydzieści kilka lat temu taki właśnie herb robotniczej Łodzi ustanowił. I komu tu wierzyć?

Opowiada:
ZDZISŁAW KONICKI

Rysuje:
WACŁAW KONDEK

Lewym okiem

PIESKI NASTRÓJ

Gdy też kto psa przy domu
zabił jakokolwiek komu
powinien zań pięć lat szczekać
albo więc z garłem uciekać —

pisał siedemnastowieczny fraszkopis, Jan Dzwonowski; fraszce można nie wierzyć, może aż tak wysoko psy cenione nie były, żeby gardło zabójcy w niebezpieczeństwie się znalazło. Ale do fraszki mamy jeszcze komentarz Brucknera: w owym czasie, powiada uczony, wykluczano z cechu na wiele lat rzemieślnika, który by psa lub kota zabił, choćby i we własnej obronie. Zabijać miał prawo tylko rakarz.

Tysiące przepięknych stron poświęcili pisarze wielu stuleci czworonożnym człowieka przyjaciołom. Słynne opowiadanie Kuncewiczowej o kotce naraziło autorkę przed trzydziestu laty na zarzut... pornografii. Niepozorny kundel, As, sam jeden udźwignął rolę głównego bohatera całej pięknej powieści Dygasińskiego. Stawiano psom pomniki, kręcono filmy. „Przyjaciel psa" był przed wojną luksusowym, bogato ilustrowanym miesięcznikiem. Jeden jedyny przykład pamiętam, ukazujący niedobrą, grzeszną, perwersyjną odmianę miłości człowieka do psa: w londonowskim „Zewie krwi" jest taki sadysta, znęcający się nad zwierzęciem, które też odpłaca mu zapiekłą nienawiścią. Oboje są sobie przy tym wierni, jak ludzie...

Nikt jeszcze nie pisał o psie, wyjącym za ścianą. Znam aż dwa takie okazy. Jeden za lewą ścianą, drugi za prawą. Ja w środku. Pan pracuje. Pani pracuje. Dzieci nie wiem gdzie. Pies siedzi godzinami i wyje. Nawet nie głośno, ale w nowoczesnych blokach wszystko jest głośne, jak wewnątrz pudła kontrabasu. Po dziesiątej przepisy wymagają ściszenia głośników. Można zawołać milicjanta, narazić się śmiertelnie sąsiadowi, ale głośnik przyciszą. Psa nie wyłączysz o żadnej godzinie, jeśli ogarnie go pieski nastrój. Jak się do takiego zapuka albo delikatnie kopnie w drzwi — zacznie dopiero szaleć na dobre. Lepiej ustąpić.

Przed miesiącem jechałem pociągiem z kobietą, wiozącą dziewięcioletniego chłopca ze szpitala po opatrunku. Przestraszył się psa i uciekając wpadł na żelazną, sterczącą z ziemi szynę. Od roku jeździ po szpitalach, męczy się z jakąś maszynerią w ustach, buzię ma pozszywaną i pija tylko płyny.

Gawędziłem na wczasach ze starym profesorem, kochającym dzieci i zwierzęta. Sam lubię wszelką gadzinę. Profesor opowiadał o najsilniejszym przeżyciu, jakie zapamiętał z dzieciństwa: spotkaniu oko w oko z wielkim psem. — Stałem parę minut sparaliżowany strachem, a on stał naprzeciw i tylko warczał. Przez tych parę minut przeżyłem całe piekło, a potem wszyscy się śmieli...

Jak to wytłumaczyć, że ze wszystkich zwierząt najbardziej lekamy się — zwłaszcza dzieci — właśnie psów, uchodzących za najwierniejszych przyjaciół? Czy rzeczywiście przyjaciele są zawsze najgroźniejsi? A może pies jest właśnie dlatego umiłowanym przyjacielem swego pana, że pomaga mu warczeć na wszystkich innych panów, do czego nie da się sprowokować żadne zwierzę?

Moi sąsiedzi skomlą dalej, skowyczą na dwa głosy i zagłuszają panią Przybylską. Nie miałbym pretensji, gdyby to był zespół Animalsów. Czy jest jakaś rada na skowyt? Może dać tym psom jeszcze po trzy do towarzystwa? Może zwalniać z pracy pana lub panią, niechby się zajęli swymi pupilkami? Może się po prostu wyprowadzić?

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3291 XI.66. E-11